Nr. 20. Warszawa, d. 16 Października 1908 r. R. X.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W październiku wolno polować na: dziki, łosie, jelenie, sarny, zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne.

Lunacya w październiku.

Ostat. kw. d. 23 o g. 10 w.
Nów d. 25 o g. 1 w nocy.

Wschód i Zachód Słońca

w październiku.

Dnia	Wschód g.	Wschód m.	Zachód g.	Zachód m.
16	6	30	5	3
17	6	31	4	59
18	6	32	4	57
19	6	34	4	55
20	6	36	4	53
21	6	37	4	51
22	6	39	4	48
23	6	41	4	46
24	6	42	4	44
25	6	43	4	42
26	6	45	4	40
27	6	46	4	38
28	6	47	4	36
29	6	50	4	34
30	6	52	4	32
31	6	55	4	29

Jako odbitka z „Łowca Polskiego"

wyszło z druku dzieło

OBERLAENDERA

p. t.

UKŁADANIE WYŻŁÓW.

Dzieło Oberlaendera, zawierające **szczegółowy i wyczerpujący opis układania wyżłów**, cieszy się niemal wszechświatową sławą, zwłaszcza na kontynencie. Między innemi, jako dowód popularności tej pracy może posłużyć fakt, że Francuzi, zazwyczaj niepozwalający sobie imponować Niemcom, w swoich pismach myśliwskich, piszą o tresurze psa, często jednak powolują się na Oberlaendera, jako powagę uznaną.

Jakiego powodzenia doznało to dzieło w samych Niemczech, dowodzi, że pierwsze jego wydanie ukazało się 1894 r., a w roku 1905 wypuszczono już w świat wydanie piąte, czyli że w ciągu 9 lat niespełna rozeszło się 25,000 egzemplarzy tej książki.

Wydając tłómaczenie tego dzieła, mniemamy, że spełniamy rzecz pożyteczną. Z V uzupełnionego i poprawionego przez autora wydania usunęliśmy tylko obszerne przedmowy, pisane w tonie polemicznym, oraz szczegóły dotyczące anatomicznej budowy wyżła, bowiem polski czytelnik znajdzie je gdzieindziej („Pies zdrowy i chory" d-ra O. Hilfsreicha).

Dzieło to stanowi **wielce pożyteczny podręcznik przy układaniu wyżła,** tembardziej że obecnie nie posiadamy w handlu księgarskim żadnej pracy w tym kierunku.

„UKŁADANIE WYŻŁÓW" stanowi duży tom o 460 stronicach ścisłego druku, z licznemi ilustracyami w tekście.

Cena 3 rub.

z przesyłką pocztową **3** rb. **25** kop.

Dzieło to nabyć można w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Nowy-Świat 35), w Magazynie Warszawskiej Spółki Myśliwskiej (Królewska 17), w księgarni Gebethnera i Wolffa, K. Treptego i we wszystkich innych.

Nabywający to dzieło bezpośrednio w Redakcyi „Łowca Polskiego" kosztów przesyłki nie ponoszą.

Nowi prenumeratorowie „Łowca Polskiego", którzy nie posiadają początku tego dzieła, **za bezpośredniem** zgłoszeniem się do Redakcyi „Łowca Polskiego" otrzymają całą książkę za połowę ceny.

DZIEŁA MYSLIWSKIE

wydane nakładem Redakcyi „Łowca Polskiego".

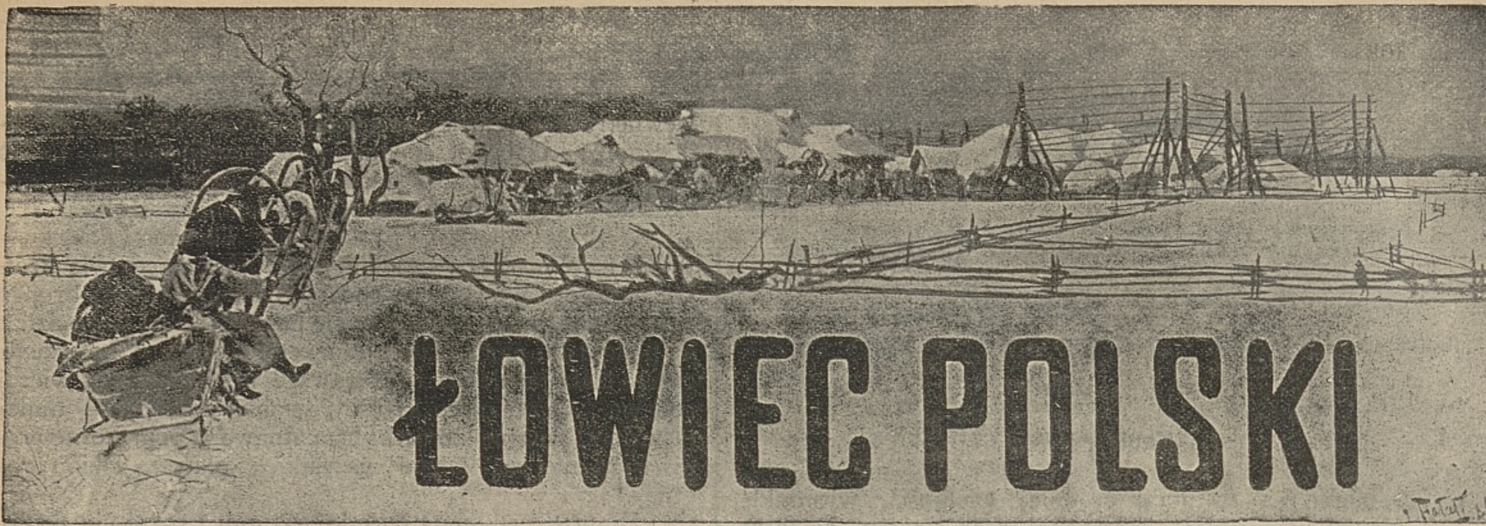
„Sarna". Monografia sarny, napisana przez ***Wiktora Stephana***, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Wyborna ta praca obznajmia dokładnie czytelnika z naturą, hodowlą i sposobem życia tej najpiękniejszej ozdoby naszych lasów, oraz z wszelkiemi sposobami polowania na sarny. **60 kop.**

„Hodowla bażantów" przez *Goedde.* Dzieło to, uzupełnione i poprawione przez królewskiego bażantarnika z Fürstenwaldu na Śląsku Staffel'a, jest dotychczas uważane za najlepszy podręcznik w hodowli bażantów w Niemczech. Liczne rysunki objaśniają tekst dzieła. **1 rb.**

„Kuropatwa". Monografia, napisana przez ***Wiktora Stephana,*** nadleśnego dóbr Wilanowskich. Dzieło to równie jak i poprzednie, zawiera liczne, objaśniające rysunki i równie wyczerpująco traktuje hodowlę tego kulturalnego ptaka. **60 kop.**

„Pies zdrowy i chory" przez d-ra *O. Hilfreicha.* Popularny podręcznik dla posiadaczy psów, a zwłaszcza myśliwych, mający duże powodzenie w Niemczech, zawiera ważne wskazówki, jak obchodzić się z psem od najmłodszego szczenięcia, oraz przepisy i recepty na różne choroby i przypadłości naszych faworytów. Tekst objaśniają liczne rysunki. **1 rb. 20 kop.**

Wszystkie powyższe dzieła nabyć można w Kantorze Redakcyi „ŁOWCA POLSKIEGO" (Nowy-Świat Nr. 35) w Warszawie i w Magazynie Spółki Myśliwskiej (Królewska Nr. 17)

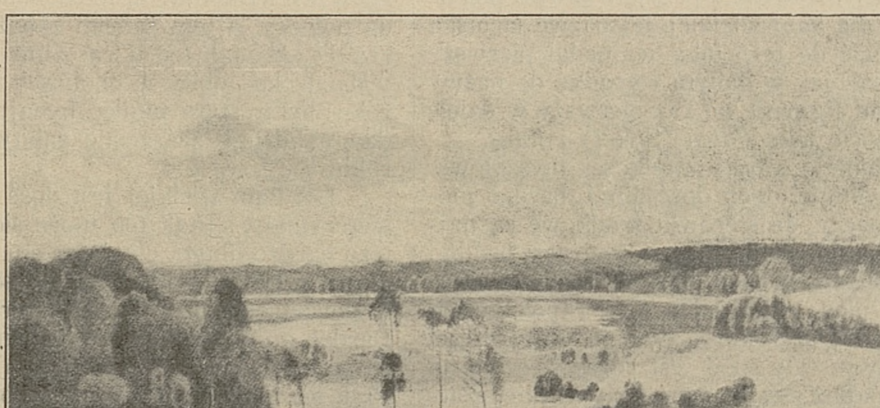


Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 230.

Nr. 20.	Warszawa, d. 16 października 1908 r.	Rok X.
	Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.	



RYKOWISKO.

JAN SZTOLCMAN.

PTAKI DRAPIEŻNE DZIENNE
kraju naszego.

(Ciąg dalszy).

Kanie *(Milvi).*

Kanie są to ptaki średniej wielkości, wysmukłe, o głowie niewielkiej, opatrzonej dość słabym dziobem. Skrzydła mają bardzo długie, ogon średniej długości, mniej lub więcej widłowato wycięty, nogi krótkie. Można te ptaki w locie łatwo wyróżnić po bardzo długich skrzydłach, co im specyalny charakter nadaje.

Kraj nasz zamieszkują dwa gatunki tego rodzaju, a mianowicie: kania wielka *(Milvus milvus)* i kania czarna *(Milvus korschun).*

Kania wielka *(Milvus milvus).*

Ptaka tego przyjęto wogóle nazywać po łacinie *Milvus regalis,* więc też wszyscy nasi ornitologowie pod tą nazwą umieszczali go w pracach swoich. Dopiero w ostatnich latach 20-tu, gdy ostatecznie przyjęto prawo pierwszeństwa, musiano i dla kani wielkiej jej nazwę łacińską zmienić, to jest wrócić do tej, jaką jej nadał pierwszy uczony, który ją opisał, jak w danym wypadku do nazwy *milvus,* pod tą bowiem figuruje po raz pierwszy w dziele Linneusza, a mianowicie jako *Falco* (Sokół) *milvus.*

Jest to ptak mniej więcej wielkości myszołowa. Skrzydła ma bardzo długie, ogon dość długi, bardzo mocno widłowaty, to znaczy, że sterówki środkowe są najkrótsze, a skrajne — najdłuższe. Głowa jego jest brudno biaława, z czarnemi stosinami piór; plecy brunatne z rdzawemi obrzeżeniami piór; obrzeżenia te na pokrywach skrzydłowych są bardzo szerokie i dlatego w tej części przeważa kolor rdzawy; cały spód jest rdzawy, tylko na wolu i na piersiach wzdłuż stosiny ciągną się wązkie, czarne strychy; podogonie i nogawice są brudno płowe bez żadnej pstrocizny. Lotki są czarne z wewnętrznemi chorągiewkami białemi. Złożony ogon z wierzchu jest rdzawy, ku skrajom ciemniejszy, prawie czarny; na chorągiewkach wewnętrznych czarne pręgowanie, które występuje najwidoczniej na białawej, spodniej powierzchni ogona. Dziób sino-rogowy, u bardzo starych osobników — żółty; woskówka i nogi gliniasto-żółte; tęcza słomiasto-żółta.

„Odzież młodych — według Taczanowskiego — w pierwszem pierzu ozdobniejsza; pióra na głowie krótsze i więcej zaokrąglone, rudawo-brunatne i białą kropką zakończone, przez co tworzy się bardzo piękna pstrocizna; na podgardlu pióra białe z czarnemi stosinami, upierzenie całego ciała jaśniejsze i jaskrawsze, niż na starych, więcej rudawe. Ogon nieco krótszy, słabiej wycięty — mniej jaskrawy, skrajne sterówki brunatnawe, a poprzeczne pręgi wyraźniejsze, końce wszystkich płowe. Dziób rogowy.“

Długość całkowita 670 do 700 mm.; rozpięcie skrzydeł (siąg) 1530 do 1630 mm.

Kania wielka zamieszkuje środkową i południową Europę, a na północ zapędza się do Skandynawii, gdzie widziano ją gnieżdżącą się aż po 61° szer. półn., chociaż wypadkowo zalatuje i dalej aż do 65° szer. półn. Na południe wędrówki swoje rozprzestrzenia do Egiptu, Azyi Mniejszej, a nawet na wyspy Kanaryjskie; spotykano ją też na Kaukazie. W Rosyi Europejskiej obserwowano go po gubernię Charkowską, chociaż możliwem jest, że zalatuje i bardziej na wschód.

Do nas przylatuje według Taczanowskiego, bardzo wcześnie, bowiem w marcu, gdy tylko śniegi zaczynają topnieć; wcześnie też odlatuje, a w sierpniu już się nieliczne tylko egzemplarze widuje; natomiast pokazują się znów we wrześniu; są to osobniki, gnieżdżące się bardziej na północy, a tem samem zapóźnione. Wyjątkowo zdarza się, że ptak ten u nas zimę przepędza. Taczanowski widział okaz ubity w okolicach Łodzi w grudniu w 1872 roku; był to stary samiec, bynajmniej nie chudy i nie zbiedzony; drugi zaś został zabity w końcu stycznia 1878 roku.

Lot kani wielkiej jest dość powolny, ale nadzwyczaj wytrzymały. Ptak ten może się utrzymywać w powietrzu bardzo długo, nie dając ani jednego uderzenia skrzydłami, a tylko ogonem nadaje sobie kierunek, pływa tak w powietrzu, rozpostarłszy szeroko swe długie skrzydła. Bardzo go wtedy łatwo wyróżnić od innych drapieżników po tych właśnie skrzydłach i po mocno wyciętym ogonie. Ptak ten trzyma się zwykle głębi lasów, w których się lęże, a stamtąd wylatuje na łowy w pola i krąży w blizkości wsi, gdze nieraz znaczne szkody wyrządza, unosząc pisklęta drobiu domowego.

Naogół jest to ptak leniwy i tchórzliwy, to też w spo-

POD PIRAMIDAMI.

— Ciągle tylko pióro, pióro i jeszcze raz pióro. Staje się to już zbyt monotonnem, znudziło mi się już w końcu brnąć nieustannie w cuchnącym mule błotnym!

Takie refleksye przyszły mi do głowy, gdym się obudził w dostatecznie złym humorze nazajutrz po całodziennem uganianiu się za kszykami w okolicach Kairu.

Naraz przyszło mi natchnienie! „Abdou, — zawołałem — chodź tutaj, bałwanie!“. Na te słowa, Berberyjczyk, który mi służył za lokaja, zbiegł z tarasu, gdzie dokonywał zwykłych ablucyj i modłów porannych. — Co pan sobie życzy? — Słuchaj no durniu! Weź dorożkę i jedź do Piramid. Tam poszukasz Abdallaha, szeika Beduinów. Znajdziesz go na pewno w okolicach hotelu „Meana House“. Powinieneś wiedzieć, ten Abdallah, z którym chodziłem nieraz na polowanie, ten, co to ma jedno oko zezowate, ot tak... Powiesz mu, że go potrzebuję natychmiast; weźmiesz go do powozu i przywieziesz tutaj. Jeśli przed południem wrócisz z nim, to dostaniesz porządny bakszysz; a jeśli zrobisz jakie głupstwo, co ci się często zdarza, to biada twojej skórze!

Pod wpływem nadziei wysokiego napiwku, a także ze strachu przed karą, skóra mego służącego, zwykle koloru hebanu, przybrała odcień szarawy; skutek jednak był dobry, gdyż około południa szef Beduinów zjawił się u mnie, witając mnie zwykłemi salamalejkami.

Ponieważ znałem Abdallaha od dawien dawna i wiedziałem, co to za wstrętny łgarz, więc przedewszystkiem kazałem mu się zakląć na Proroka, że będzie mówił prawdę. Następnie zadałem szereg pytań, na które odpowiadał mi w tym zabawnym żargonie, jakiego używają Arabowie w stosunkach z Europejczykami. Stopniowo radość zaczęła mnie opanowywać, gdyż przekonywałem się, że polowanie na sierciowego zwierza było możliwe w najbliższych okolicach Kairu. Po ukończeniu tego śledztwa, pobudziłem jeszcze wspaniałomyślnie zapał i poświęcenie Beduina, który odjechał, obiecując się znaleźć jutro rano o świcie u stóp piramidy Gizeh w towarzystwie jakich 20 ludzi, którzy mieli służyć za naganiaczy.

Ponieważ miałem zamiar spędzić część nocy na zasadzce w oczekiwaniu Abdallaha i jego ludzi, więc wyjechałem z Kairu powozem tegoż dnia wieczorem i przybyłem o drugiej w nocy pod Piramidy, zkąd poszedłem piechotą do miejsca, uplanowanego zawczasu. Zająłem stanowisko, obejrzałem starannie broń moją, wpakowałem do luf dwa ładunki kulowe, wytarłem nos, ukryłem się, jak można najstaranniej i... rozpocząłem wyczekiwanie.

Noc, którą dzięki czystości nieba porównać było można do długiego zmierzchu letniego północy, zapożyczała

koju pozostawia większe ptaki lub ssaki, a rzuca się tylko na pisklęta, a przytem karmi się myszami i polnikami, jaszczurkami, wężami, żabami, owadami i robakami dżdżowymi; gdy mu zaś i tego pożywienia zabraknie, odwiedza śmietniki, nie gardząc padliną, oraz wszelkiemi odpadkami kuchennymi. Według Pennant'a odegrywał on niegdyś podobną w Europie rolę, jaką dzisiaj jeszcze pełni pokrewna mu kania pasorzytna *(Milvus parasiticus)* w północnej Afryce. Według wspomnianego autora za czasów Henryka VIII widywano znaczną ilość tych ptaków na ulicach Londynu, gdzie je ściągały rozmaite odpadki, wyrzucane wprost na ulicę. Kanie były podobno tak mało płochliwe, że nie bały się żerować wśród największych tłumów. Istniał wtedy zakaz zabijania ich, gdyż spełniały one funkcye czyścicieli miasta.

Brehm równoważąc szkody, jakie kania wielka wyrządza w zwierzostanach i w drobiu domowym, z pożytkiem, wyświadczanym rolnikom przez tępienie ogromnej masy polników, myszy i wszelkiego rodzaju robactwa szkodnego, przychodzi jednak do wniosku, że jego pasywa są w każdym razie większe, że przeto należy tępić tego szkodnika. W samej rzeczy kania wielka, nie dość że sama napada na pisklęta wszelkiego ptactwa łownego, ale nadto odbiera często zdobycz sokołom, zmuszając je tem samem do robienia większej szkody, aniżeli tego potrzebują. Wzgląd ten skłania nas także do uważania tego drapieżnika za wielkiego nieprzyjaciela gospodarstw łowieckich, a tem samem do zalecenia jego eksterminacyi wszelkimi sposobami.

Kania wielka gnieździ się u nas między końcem kwietnia a połową maja. Umieszcza zwykle gniazdo na starych drzewach, niekiedy na samym czubku, to znów w połowie wysokości, częściej jednak na drzewach liściastych, aniżeli na sosnach. Tak jest leniwa, że gdy znajdzie stare gniazdo innego jakiego drapieżnika, woli je zająć, aniżeli nowe budować. Wierzch gniazda wyściela wszelkiego rodzaju szmatami, kawałkami starych sukman, powrozów, powróseł słomianych i łyczanych. Tutaj znosi regularnie 3 jaja, tak nieraz podobne do myszołowich, że ich niepodobna odróżnić. Jaja mają zwykle tło białe, nieco żółtawe, a na niem umieszczone są nieregularne plamy brunatne lub rdzawe, zwykle zgrupowane gęściej na jednym końcu, a rzadko po reszcie powierzchni. Trafiają się też niekiedy jaja z rzadkiemi plamami na całej powierzchni, lub też drobno i gęsto poplamione drobnemi plamkami blado różowemi. Wymiary jaj: około 58 × 45 mm.

(C. d. n.)

DROZD KWICZOŁ.

(Turdus pilaris).

Franc. **Litorne,** niem. **Wachholderdrossel.**

Z pomiędzy wielu gatunków drozdów, zamieszkujących Europę, najczęściej spotyka się w naszym kraju kwiczoł.

Ptak ten mierzy od końca dzioba do końca ogona 24 do 26 centymetrów. Kształty ogólne ma dość zgrabne, jest lekki i zwinny. Dziób ma żółty z ciemnym końcem; tęcza brunatna, ciemna. Głowa, kark i pokrywy ogona stalowo-siwe. Plecy i pokrywy skrzydeł rdzawo-szare; rdzawy kolor przechodzi stopniowo w lotkach do ciemno-szarego. Lotki mają jasne brzegi. Ogon dość długi jest ciemno-szary, niekiedy czarny; dwie pierwsze z brzegu sterówki mają jasne końce. Szyja i piersi ciemno-płowe, bardzo gęsto nakrapiane czarnemi, zaostrzonemi centkami, które się układają, jak łuska. Od piersi do ogona kolor płowy słabnie i brzuch jest prawie biały z lekkim, płowym odcieniem. Centkowanie od piersi przechodzi stopniowo pod skrzydłami na boki i ginie na podogoniu. Skrzydła są kryte ze spodu białemi piórkami; nogi i pazury są koloru szaro-żółtego.

Kwiczoły lubią się gnieździć w niewielkich, mieszanych gajach, brzeźniakach z olchowem lub świerkowem podszyciem, na brzegach wielkich lasów, przy porębach i leśnych polanach. W borach i starych, świerkowych lasach rzadko można je spotkać. Zdarza się często, że zakładają gniazda w sadach na drzewach owocowych.

Kwiczoły są dość towarzyskie i często kilka par buduje sobie gniazda w jednym rewirze. Gniazda umieszczają zwykle na wysokości mniej więcej 2 — 3 metrów, rzadko niżej, częściej zaś wyżej. Dość głębokie gniazdo spoczywa na grubych gałęziach i urobione jest z suchych traw i korzonków zlepionych ziemią. W kwietniu lub na początku maja znajdujemy w gnieździe 5 — 6 jaj błękitno-zielonych, nakrapianych bronzowo. Bliskość gniazda, szczególniej jeśli już są pisklęta, rodzice zdradzają głośnym krzykiem, podobnym do skrzeczenia sroki (cze, cze, cze...) i wielkim niepokojem. Dość trwożliwe zwykle i ostrożne ptaki, teraz przelatują śmiało tuż nad głową nieproszonego gościa, skaczą z gałęzi na gałąź i skrzeczą bez ustanku. Kwiczoły bronią zaciekle swego gniazda od nieprzyjaciół, nie dopuszczając do niego srok, wron, sójek,

---

swe światło rozproszone od miriadów konstelacyj, przeciętych w połowie drogą mleczną, niby wielkim szlakiem wysadzonym dyamentami...

Pod wpływem pierwszych promieni jutrzenki zaczęły blednąć światła gwiazd, które gasły powoli, tonąc w odblyskach szarawych zrazu, potem różowych, czerwonych, ogarniających w końcu swymi ognistymi promieniami firmament cały. Ziemia pogrążona była jeszcze w mroku, gdy naraz zabłyszczał wierzchołek wielkiej piramidy. Zrazu był to punkt rozpalony, fantastycznie zawieszony w powietrzu; a potem zwolna olbrzymia masa wyrosła z mroku z dziwną wyrazistością, podobna do olbrzymiego trójkąta, rozpalonego do czerwoności, a którego podstawa rozszerzała się stopniowo.

Zachwycony wspaniałością tej niezwykłej gry światła, oddawałem się w najlepsze niemej kontemplacyi, gdy naraz przedłużone wycie, jakby wychodzące z głębi piramidy, wyrwało mnie odrazu z mej zadumy. Czyżby grobowiec Ramzesa był zamieszkany przez dzikie zwierzęta? Ponieważ drzwi, prowadzące do grobu, są stale zamknięte podczas nocy, więc musi istnieć jakieś inne wejście sekretne, którem się można przedostać do wnętrza!... I byłem już prawie gotów przyjąć tę głupią hypotezę, gdy znowu rozległo się wycie, lecz tym razem w zupełnie innym kierunku. Był to więc skutek echa, które mnie oszukało w tak dziwny sposób. Jednocześnie prawie na skłonie piaszczystego wzgórka zarysował się niewyraźny profil zwierza, który z nosem przy ziemi, biegł cichutko, podobny do wielkiego psa włóczącego się bez celu. Wziąłem go na cel mego karabinka, opatrzonego w emaliowaną muszkę, doskonałe usługi świadczącą w podobnych okolicznościach.

Był to stary wilk *), pragnący dostać się do swego dziennego legowiska. Skóra jego leży pod memi nogami w chwili, gdy piszę te słowa.

Odgłos strzału, spotęgowany rezonansem piramid, wzbudził niezwykły ruch w niewielkiej odległości odemnie. Złożyłem się, spostrzegłszy coś szarego, poruszającego się na ziemi; nie pocisnąłem jednak za cyngiel, gdyż nie rozróżniałem dostatecznie tego przedmiotu. I dobrze się stało, postrzeliłbym bowiem lub zabił... Araba, który się podniósł i oddalił w spokoju. Był to napewno jeden z tych nieszczęśliwych, którzy — jak to się później dowiedziałem — sypiają w mogiłach i jaskiniach, otaczających piramidy, i wydzielających smrodliwy odór i gazy. Przyzwyczaiwszy się do nich, biedacy ci powoli stają się nieczułymi do tego stopnia, że mogą następnie wbijać sobie długie igły w twarz i członki, jak również sztylety i szable, poczem zajmują dochodne stanowiska fakirów.

*) Wilk egipski *(Canis lupaster)* — podobny do naszego, lecz mniejszy. *(Przyp. tłóm.).*

nawet mniejsze i większe jastrzębie prześladują, długo za niemi lecąc i skubiąc je. Gdy młode już z gniazda wylecą, to zwykle spotykamy całą rodzinę, żerującą na ziemi opodal opuszczonego gniazda. Młode kwiczoły z krótkimi jeszcze ogonkami i skrzydłami wylatują z gniazda w końcu czerwca lub na początku lipca. Trzymają się one rodzinnej okolicy aż do jesieni. Jeżeli spotkamy stadko kwiczołów, to zwykle młode przyczają się w trawie lub nizko na drzewie i cicho siedzą, póki nieprzyjaciel w pobliżu. Można wtedy blisko podejść do nich i wyżeł z łatwością je wystawi. Jeżeli jeszcze bardziej się zbliżyć, to młody kwiczoł z krzykiem wylatuje, dosięga sąsiedniej gałęzi, skacze coraz wyżej i wyżej i ginie z oczu w gęstwinie. Stare tymczasem, krzycząc, latają dokoła.

Kwiczoły trzymają się rodzinami aż do jesieni, póki nie zaczną dojrzewać jagody. Wtedy łączą się w wielkie stada, przyjmując do swego towarzystwa inne drozdy (paszkoty i śpiewaki) i odwiedzają tłumnie drzewa jarzębinowe stojące samotnie na polach lub na skraju lasów. Stada drozdów przebywają w danej okolicy, dopóki jest jarzębina, a wyjadłszy wszystkie jagody, wędrują dalej. Z nadejściem zimy stadka się zmniejszają. Część kwiczołów z paszkotami i śpiewakami odlatuje na południe, a reszta zostaje w kraju i przepędza zimę w małych stadkach, liczących po kilkanaście sztuk. Głównem, zimowem pożywieniem kwiczołów są u nas jagody jałowca. W końcu marca i w kwietniu stadka się rozdzielają na pary, które zaraz zaczynają budować gniazda.

Pożywienie kwiczołów, również jak i innych drozdów, stanowią przeważnie owady. Lecz gdy dojrzeją w jesieni jagody, to skubią je chętnie, tak, że mogą wyrządzać poważne szkody w sadach. Kwiczoły w drodze do Afryki przez południową Europę, zjadają wiele oliwek, owoców lauru i pistacyi.

Właściwą ojczyzną kwiczołów jest północna Europa i Azya. Gnieździ się jednak gdzieniegdzie w Niemczech, Galicyi i Czechach. We Francyi i na południu Europy jest ptakiem przelotnym i zjawia się późną jesienią. Na północ sięga kwiczoł do granicy lasów, — można go jeszcze spotkać tam, gdzie już tylko rosną karłowate brzozy. Na zimę odlatuje na południe i sięga w swych wędrówkach północnej Afryki, Azyi Mniejszej i Indyj Wschodnich.

Kwiczoły, trochę po macoszemu traktowane przez naszych myśliwych, mają w zachodniej Europie wielkie powodzenie i bardzo są poszukiwane dla smacznego mięsa. Rzadko się je tam strzela, — najczęściej wpadają całemi stadami w zastawione sieci lub sidła i wraz z innymi drozdami, których podobny los spotkał, idą — wszystkie pod nazwą „kwiczołów“ — do kuchni.

Antoni Römer.

O głosach zwierzyny.

(Dokończenie).

Największą skalę tonową posiadają, zdaje się, papugi. One mogą naśladować prawie wszystkie dźwięki razem wzięte, jakie inne ptaki wydają, a zarazem głosy ludzkie w najwyższych i najniższych tonach. Oprócz tego naśladują wiele szmerów, jak rżnięcie piły, skrzyp drzwi, gwizd wiatru. Również i wśród naszych ptaków istnieją naśladowcy mowy ludzkiej, jak szpak, sroka, kruk i inne. Te ostatnie jednak tylko chowane w domu i umyślnie tresowane wyuczają się niektórych wyrazów. W doskonałości naśladowania odgrywa wielką rolę język, który w tym celu tresujący podcinają. Bergman i Leuckart mówią, że należy przypuszczać, iż powodem naśladownictwa jest doskonałość słuchu; powiadają dalej: „Oczywiście słuch ssaków jest także w niektórych względach bardzo wykształcony i delikatny, jednak nie w tym stopniu, co u ptaków.

Gadania ptaków, szpaków, czy srok nie możemy jednak nazwać ich mową, gdyż ono nie służy im do porozumiewania się wzajemnego, jest tylko bezmyślnem prawie powtarzaniem tego, czego ich nauczono. Jeśli zaś nie bezmyślnem, jak niektórzy autorowie chcą tego, to przynajmniej naśladowanie to nie ma żadnego znaczenia w porozumiewaniu się ich między sobą. Z powyższego jednak nie wynika, aby te ptaki nie miały swej rodzinnej mowy.

Garner przeprowadzał badania nietylko nad mową małp, ale także, oddając się z zapałem myślistwu, starał się poznać znaczenie niektórych głosów ptaków. Powiada, że przez dokładną obserwacyę doszedł do tego, iż potrafił podać, gdzie rozproszona gromadka znowu się zbierze. Wywnioskował to z wołania jednego indywiduum i odpowiadania innych. Zawsze w stadzie ptaków odnajdywał przewodnika, który z pewnego miejsca nawoływał,

---

Niebo, blade już teraz, słało na powierzchnię ziemi srebrzyste odbłyski, które odzwierciadlały się w ziarnkach piasku, niby w śniegu; zajaśniała jutrzenka w sposób niezwykle wspaniały; ognista kula podnosiła się nad widnokręgiem; piramidy, wzgórza piaszczyste, oblane były w jednej chwili światłem tak jaskrawem, że oko nie mogło wytrzymać siły jego, jakgdyby wszystko naraz zaczęło płonąć!

Przedemną, na pierwszym planie rozciągała się obszerna powierzchnia wody, utworzonej wskutek wylewu Nilu, w części okolonej palmami, których pnie gładkie i olbrzymie pióropusze rzucały niepomiernie długie cienie; a nieco dalej widać było kilka grup mieszkań nawodnych, wynurzających się na podobieństwo wysepek. Na drugim planie rozróżnić było można część Kairu z jego białemi domostwami, z jego pękatymi meczetami i wysmukłymi minaretami; a na widnokręgu srebrzysta wstęga oznaczała miejsce wydm piaszczystych, o które opierają się groby kalifów. Olbrzymi Sfinx, któremu według podania jedna z kul armatnich Bonapartego nos odtrąciła, wznosił się po mej prawej stronie, gdy po lewej cągnęła się wysadzana drzewami droga, prowadząca z Kairu do Piramid, dzieląc swym nasypem ziemie zalane odżywczemi wodami rzeki.

Naraz poczułem, że jakaś ręka dotyka mego ramienia. Zerwałem się na równe nogi, z bronią w pogotowiu do strzału... Można wyobrazić sobie me zakłopotanie, gdym spostrzegł stojącego przed sobą szeika Abdallah'a, który z błogim uśmiechem przyglądał mi się swemi zezowatemi oczami. Zaśmiałem się zrazu z mego mimowolnego przestrachu; po chwili jednak rzekłem rozgniewany: — Cóż to ma się znaczyć? Kto cię upoważnił dotykać się mnie, przeklęty błaźnie. Wówczas Beduin przybrał minę skruszoną, której pozazdrościłaby mu stara dewotka hiszpańska; poczem, przykładając w sposób znaczący palec do ust, wyszeptał: — Master no y maky noice! havy got plenty game. Dowiedziawszy się, że zwierzyny jest obfitość, ochłonąłem z gniewu i odprawiłem Abdallah'a, który poszedł do swych ludzi, aby im powtórzyć zarządzenia moje z dnia wczorajszego. Na trzech bokach piramidy powinno się znajdować w braku straszaków, po jednym Beduinie, który stójąc i hałasując przeszkodziłby zwierzynie forsowania tych boków i wynoszenia się do pustyni poza donośnością mego sztucera. Reszta obławników miała pędzić zwierzynę pod kierunkiem swego dowódcy.

Skoro tylko stanąłem na czwartym, niezajętym boku piramidy, naganiacze poczęli drapać się na nią od strony przeciwnej, krzycząc i rzucając kamieniami. Wówczas po obu bokach piramidy, które wzrok mój obejmował, spostrzegłem pewną liczbę szakali i wilków skaczących z kamienia na kamień w kierunku skośnym pod naporem naganiaczy. Radość moja z tego widoku zwierzyny sier-

a reszta ptaków, ustawicznie wołając, gromadziła się koło niego.

Głos, jaki wydaje przewodnik, różni się od głosów gromady, ale te ostatnie są zawsze jednakowe.

Od kiedy Garner zaobserwował tę okoliczność, zawsze udawało mu się, szczególnie koło wieczora, odnaleść znowu gromadę.

Pewien jego znajomy tak dokładnie znał głos ptaków, zwłaszcza domowych, a niektórych także dzikich, że umiał je doskonale naśladować. Dwa razy potrafił stado wron w błąd wprowadzić i zatrzymać, naśladując głos ich przywódcy. Ciekawe głosy wydaje makolągwa *(Fringilla cannabina)*. Obok porozumiewawczych i śpiewu o charakterze seksualnym wydaje jeszcze trzeciego rodzaju głosy, których nie można zaliczyć ani do pierwszego ani do drugiego gatunku, jest to „zawodzenie“. Wydają go makolągwy, zdaje się, wyłącznie, gdy zostaną pokrzywdzone, naprzykład kiedy im zabiorą pisklęta, jaja lub uszkodzą gniazdo. Zawodzenia poprzedzają najpierw głosy alarmujące jednego osobnika z pary; natychmiast lub wkrótce nadlatuje drugi osobnik i oboje, usiadłszy na szczycie drzewa, odpowiadają sobie antyfonicznie melodyjnie smętnym głosem, prawie rozczulającym. Podobnego rodzaju głosów u innych ptaków nie zauważono. Makolągwy zawodzą, zwłaszcza, jeśli im się zabierze pisklęta, kilka dni, a nawet i dłużej, zazwyczaj w pobliżu miejsca wypadku, jak kochająca matka nad grobem dziecka.

U tych ptaków, jak widzimy, bardzo jest rozwinięta miłość rodzicielska, czego dowodem są jeszcze inne fakty.

Wrony, sokoły, wróble, jaskółki poprzestają na krzykach alarmujących, a gdy krzywdziciel im umknie z oczu, zapominają o nieszczęściu i rozlatują się wkrótce.

Jeżeli w stodole, w której się wróble gnieżdżą, w porze, kiedy już są pisklęta, wróbel przynosząc pokarm, zauważy kogoś obcego, — natychmiast wydaje głos ostrzegawczy, lekki i przeciągły, nieco podobny do głosu kwoki, ostrzegającej kurczęta, tylko pierwszy jest w wyższym tonie. Po wydaniu takiego głosu, w tej chwili pisklęta się uciszają — zwyczajnie bowiem świergocą. Jeśli obecny kot czy chłopak zaczyna wdrapywać się do gniazda, które się znajduje wysoko na krokwiach, a stary wróbel zmiarkuje, że psotnikowi miejsce gniazda jest znane, wówczas wszczyna alarm i wkrótce do stodoły zlatuje się więcej wróbli i bez ustanku, fruwając w pobliżu, wołają „dżyndżyn“.

Bardzo charakterystyczne są głosy sejmikowe, kiedy to wróble osiadłszy hurmą drzewa, łagodnie szczebiocą. Inaczej brzmią głosy dwu kłócących się wróbli.

Charakterystyczny również głos wydaje wrona, ścigana przez jastrzębia; jestto głos nie silny, ochrypły, urywany, co jakiś czas się powtarzający, przypominający głośne stękanie człowieka ciężko chorego.

Wrony wydają kilka głosów różnych od siebie. Najczęstszem jest zwykłe krakanie radośne w locie lub też w spoczynku. Inaczej znowu brzmią głosy stada wron, kiedy to obsiadają wieczorami wierzchołki drzew, zawzięcie się kłócąc o dogodniejsze miejsce.

Porozumiewanie się ptaków, zdaje się, polega nietylko na wydawaniu głosów. Prawdopodobnie istnieje także porozumiewanie się znakowe, przynajmniej u niektórych gatunków, zwłaszcza u ptaków prawie lub wcale niewydających głosów.

Wiadomo, że bociany, zanim odlecą do ciepłych krajów, zbierają się w powietrzu w większe gromady, pewien czas krążą nad okolicą i odbywszy wśród siebie przegląd, niezdolnych do długiego lotu zostawiają, same zaś odlatują; następnie po drodze co jakiś czas wybierają przywódcę, który nietylko ma wskazywać drogę, ale także ułatwiać lot słabszym towarzyszom przez rozbijanie powietrza.

To wszystko wymaga pewnego sposobu porozumiewania się; a że bociany w tych wypadkach głosu nie używają, zatem wymiana myśli zapewne odbywa się za pomocą jakichś znaków.

Podobne narady i wybory odbywają i żórawie, te jednak porozumiewają się w locie „krukaniem“.

Wśród ptaków istnieje grupa śpiewających, które się tem odznaczają, że wydają dwa rodzaje głosów; jedne służą do porozumiewania się, jak i u reszty ptaków, inne zaś, mające charakter płciowy, stanowią śpiew. Popisują się nim samce w porze parzenia się dla pozyskania lub podniecenia samicy.

Między tymi głosami istnieje zasadnicza różnica. Pierwsze stanowią jeden głos melodyjny, bez przerwy, u różnych gatunków rozmaicie długo brzmiący. Drugiego rodzaju głosy są interjekcyjne, najczęściej ostrzegawcze, alarmowe lub sygnałowe.

---

ciowej nie trwała jednak długo; gdyż drapieżniki te w połowie drogi niknęły wśród nierówności pomiędzy olbrzymimi głazami, z jakich jest zbudowana piramida. Tymczasem naganiacze objęli już całą rozciągłość tego pomnika, a środek ich spuszczał się już ku memu stanowisku.

Jakiś wilk pojedyńczy ukazał się na chwilę, skacząc z kamienia na kamień; następnie przywarował tak starannie, że z trudnością tylko mogłem rozpoznawać miejsce, gdzie się znajduje. W tej chwili kamień, rzucony przez jednego z naganiaczy, wyparował go z kryjówki; zwierz ukazał się więc całkowicie, sadząc w dół ku mnie wielkimi susami. Nie oceniwszy jednak dobrze dystansu (piramida Gizeh mierzy bowiem czterysta stóp wysokości, a powierzchnia jej wynosi kilka kilometrów) spudłowałem go i z przykrością widziałem, jak galopował po pustyni z jedną nogą strzaskaną, która wykręcała szalonego młynka.

(Dok. nast.).

Wyprawa myśliwska pod równik

skreślił

LEON HORODYSKI.

(Ciąg dalszy).

Następny dzień poświęciłem szukaniu lwa postrzelonego, ludzie dostali przyrzeczenie sowitego bakszyszu, ale wszystko napróżno. Szukanie było tak ściśle przeprowadzone, że znaleźliśmy nawet ślady lwicy, która w nocy już po deszczu szukała swego małżonka. Farby jednak wczorajszej już nie odnaleźliśmy i przepadł mi drugi lew w podobny sposób co i pierwszy.

Czwarte spotkanie w Sultan Hamud.

Przybyliśmy tam o godzinie 12-ej z całą karawaną i rozbiliśmy obóz niedaleko stacyi kolejowej. Zamierzałem zostać w tej miejscowości parę dni i oczekiwać ładunku ryżu dla ludzi, który miał nadejść z Mombasy. Dochodząc do Sultan Hamud, spotkaliśmy Vanderobba, który już nie był byle jakim, obcował z Europejczykami i posiadał od nich pamiątkę w postaci żakietu z dziurami na łokciach, wskutek której to okoliczności naturalną koleją rzeczy, płótno noszone na ramionach, zjechało niżej w formie tuniki. Owóż ten Vandorobbo zapewnił, że zna okolicę, miejsca, gdzie lwy przebywają, i wskutek tego został wzięty na parę dni do obozu.

Popołudniu tego samego dnia jeszcze nie zupełnie wypoczęty po rannym marszu, poszedłem do zarosłego krzakami podnóża góry, dla rozpatrzenia się. Vandorobbo szedł pierwszy, za nim ja postępowałem, za mną niósł strzelbę Amici. Początkowo szliśmy przez step trawą porosły, a dochodząc do krzaków, obserwowałem stadko impali, które właśnie wychyliło się z buszu. Ponieważ kierunek naszej drogi wypadł na miejsce, gdzie stały impale, przeto gdy zbliżyliśmy się, zwierzęta uciekły i wolnem tempem weszliśmy w region krzaków, które tworzyły klomby odosobnione, lub złączone z sobą wązkiemi zaroślami. Nikt nie mógł spodziewać się lwa na samym krańcu buszu i do tego tak blisko przesmyku impali, wszak zwierzęta powinny go były poczuć! Vandorobbo minął drugi klomb krzaków, dochodził do trzeciego, ja byłem na linii drugiego klombu, a Amici z strzelbą kilka kroków za mną. Rzuciłem machinalnie głową na prawo i ujrzałem lwa na dwadzieścia kroków, który wyskoczywszy z drugiego klombu, spostrzegł nas, zrobił kilka susów i schował się napowrót do tego samego krzaku, z którego wyskoczył. Wszelkie dalsze zabiegi i szukania nie wydały pomyślnego rezultatu.

Spotkanie piąte w Sultan Hamud. W kilka dni po poprzednio opisanym epizodzie, wybrałem się wierzchem na ośle, z dziesięciu ludźmi, w dalekie miejsca za górami. Wieść szła, że dużo zwierza pasie się po tamtej stronie gór. Oczywiście drogi nie było, maszerowaliśmy gęsiego przez step, w kierunku widocznej góry. W czasie tego pochodu wypadło iść wzdłuż suchego łożyska rzeki, którego strome brzegi były krzakami zarosłe. Nagle tuż koło mnie w nadbrzeżnych krzakach, zawarczały dwa lwy. Zeskoczyłem z osła, porwałem strzelbę niesioną przez Amiciego, strzelec już stał przygotowany. Lwy widocznie niezadowolone z przerwanej syesty, pomrukując, zaczęły postępować naprzód, w ukryciu krzaków łożyska rzeki. Zmiarkowałem, że im tu nic nie zrobię, chyba jakimś podstępem, a ten niebawem się znalazł.

W odległości kilkudziesięciu metrów, łożysko rzeki skręcało pod ostrym kątem. Jeżeli lwy będą trzymały się łożyska, dojdą do załamania i tam można będzie je zobaczyć. Zostawiając więc ludzi z osłem na miejscu, poleciłem im powoli posuwać się i rzucać kamienie do krzaków, a sam z strzelcem przeciąłem step i stanąłem w miejscu najkorzystniejszem do obserwowania przy załamaniu. Ludziom tymczasem ani w głowie nie było, rozpoczynać jakieś kroki zaczepne. Zbili się w kupkę na około osła i stali, jak owce z minami głupiemi, nibyto, że nic nie rozumieją, co im się każe zrobić. Lwy jednak zaniepokojone widocznie głosami, posuwały się powoli wciąż dalej, aż wreszcie, gdy doszły do załamania rzeki, lwica wyskoczyła na brzeg otwarty, chcąc zobaczyć, co się dzieje, a poczęstowana moją kulą, potknęła się i skoczyła napowrót w krzaki. Lew został z drugiej strony i jakiś czas pomrukiwał, kto wie, czyby ostatecznie nie był się ukazał także, ale ludzie moi wszystko popsuli, bo zaraz po strzale przybiegli do nas, czując się za naszymi plecami najbezpieczniejsi.

Lew słysząc strzał, a potem ciągły chrzęst sprawiony w trawach przez tylu ludzi, wyszedł drugą stroną wąwozu. Teraz należało odnaleźć trop lwicy. Posunęliśmy się ze strzelcem na miejsce strzału, po dobrem oglądnięciu udało się ustalić kierunek, choć farby z razu nie było. Nastąpiła narada i stanęło na tem, aby iść w trop. Z czarnych jeden śmielszej natury, Amumadi, oświadczył, że pójdzie z nami szukać, reszta została przy ośle. Spuściliśmy się w łożysko, a potem weszliśmy, a właściwie wleźliśmy na czworakach w gąszcz. Strzelec posuwał się pierwszy, potem Amumadi, jako tropiciele, ja lazłem w pogotowiu ze strzelbą do strzału za nimi; były miejsca, że bez rąbania nawet na czworakach przeleźć nie było można. Po kilku krokach pokazała się farba, ale tak dziwnie znaczyła, że niepodobna było poznać, skąd płynie, czy prosto z rany, czy z pyska i nosa. Po jakimś czasie znów skonstatowaliśmy okoliczność bardzo niezachęcającą, lwica zaczęła zataczać koła i robić kluczki. Taka mitręga w pozycyach jaknajmniej wygodnych i do obrony się nienadających, trwała pół godziny, wreszcie uczułem, że ręka skurczona, w której trzymałem strzelbę, słabnie, dałem więc rozkaz do powrotu. Oczywiście powrót aczkolwiek na czworakach, poszedł znacznie prędzej, raz, że droga utorowana była, powtóre mniejsze było prawdopodobieństwo napadu lwicy.

Nastąpiła powtórna narada: Jeżeli lwica miała siłę daleko pójść, nie mogła długo przedzierać się przez takie gąszcze, lecz albo poszła piaskiem w łożysku rzeki, albo wzdłuż gęstwiny, jednym z brzegów: w obu wypadkach ślad nawet bez farby będzie widocznym, na miękkim, piaskowatym terenie. Zataczanie kół celem przecinania tropu, wydawało się najpraktyczniejszem. Pierwsze koło zostało niebawem zatoczone —śladu nie było — lwica musiała znajdować się blizko. Ledwo te refleksye miały czas się nasunąć, gdy ponure mruczenie, ozwało się w zaroślach o 20 kroków od nas. Stanęliśmy gotowi do strzału. Amumadiego w mgnieniu oka już nie było.

W około nas gąszcz prawie nieprzebyty, od strony, z której doszło mruczenie, leżał ogromny przewalony konar, kabłąkiem do góry sterczący, rodzaj naturalnej bramy. Przybliżyliśmy się do niej i strzelec wskazał pod tą kłodą punkt żółty, który miał niby się poruszyć. Wpatrywałem się w gęstą ścianę suchych badyli, lecz nadaremnie, rozpoznać nic nie mogłem. Należało jednak koniecznie coś przedsięwziąć, naprzód nie można było już ani kroku zrobić, ściana była za gęsta, uległem tedy namowom i posłałem kulę, w ów punkt będący rzekomo lwem. Strzałowi odpowiedział krótki ryk, następnie trzask łamanych gwałtownie badyli i lwica wypadła na nas z pod kłody, w najwyższym impecie i wściekłości. Trudna do wyobrażenia, dzika siła i sprężystość była w jej ruchach! Zbierała się zapalczywie w skoku na strzelca, cofnęliśmy się odruchowo w tył, ile się dało, a nie było to wiele, i 4 strzały padły, dwa strzelca, dwa moje, mój drugi dany był z wyciągniętemi rękami, a lufa przy samej głowie lwicy w chwili, gdy przesuwała się tuż koło mnie. Kula przełamała jej kość w karku i powaliła na ziemię. Był najwyższy czas, runęła bowiem w skoku, u nóg strzelca! Od chwili pierwszego mego strzału, danego na niepewny punkt, aż do powalenia lwicy, odbyło się wszystko w przeciągu kilku sekund, w czasie których wrażenia błyskawicznie po sobie następowały. Lwica teraz leżąc u stóp naszych, tak jeszcze ryczała, tak groźnie oczyma łypała i wyciągała pazury, że należało dać strzał w mózg, aby ją ostatecznie nieszkodliwą uczynić.

Takie było moje ostatnie spotkanie z lwem, które dużo niezatartych wspomnień, zostawiło nam w pamięci. Nie mogę milczeniem pominąć fatalnego spotkania, które miał mój strzelec, a które mógł życiem przypłacić, bez żadnej nawet możności obrony.

Wyszedł polować na kuropatwy i pantarki w najbliższym promieniu obozu i natknął się na dwa lwy, na kilkanaście kroków odległości. Szedł sobie ze spuszczoną głową, wybierając lepsze przejścia, a podniósłszy oczy, ujrzał na 15 kroków lwa stojącego, a obok lwicę leżącą. Amici, który nosił naboje, uciekł, zostawiając strzelca z dwoma nabojami broku; co prawda i kule nie na wiele by się tu były przydały. Z tej krytycznej sytuacyi wywinął się strzelec doskonale, z wielką przytomnością umysłu. Ucieczka była wprost zgubną, przeto zaczął zupełnie powoli cofać się wstecz, do najbliższego, cienkiego drzewka, oddalonego o 60 kroków, od lwów, na które miał zamiar wdrapać się. Gdy szczęśliwie dostał się tam, a lwy nie zmieniły pierwotnej postawy, uciekł co tchu mu starczyło i dopadł obozu. Zapóźno było wyruszać z odpowiedniem uzbrojeniem na te lwy, bo noc zapadała. W czasie mego pobytu w Afryce, słyszałem tylko raz jeden ryk lwa, natomiast stękania jego bardzo często, późno wieczorem lub w nocy. Dawniejszymi czasy musiało być więcej lwów, obecnie łatwa komunikacya koleją, sprawiła przerzedzenie ich szeregów.

Stacya Simba, co oznacza w języku swahilskim „lew“ została tak nazwaną, bo podczas budowy kolei w tych regionach 27 ludzi zginęło przez lwy. Dużo ciekawych wy-

darzeń opowiadają naoczni świadkowie, z czasów budowy kolei.

Na jednej ze stacyi dwa lwy przyszły położyć się w cieniu werendy. Naczelnik hindus, jak wszyscy naczelnicy tej kolei, nie mając broni, telegrafował po ratunek do sąsiednich stacyj, te przysłały lokomotywę, która sapiąc i świszcząc: lwy odpędziła. Opowieść ta może wydać się nieprawdopodobną Europejczykowi, mającemu wyobrażenie o „stacyi kolejowej“ na sposób europejski, gdy jednak weźmie się pod uwagę, że jeszcze dzisiaj po kilku latach istnienia kolei, bardzo mała przestrzeń w około stacyi jest ucywilizowaną, można sobie wyobrazić, że w początkach zarośla jeszcze bliżej budynków wyrastały, a tem samem i możliwość powyżej opisanego wydarzenia.

Równie głośny był wypadek, gdy lew porwał z wagonu śpiącego inżyniera. Podczas posuchy przychodziły lwy torem kolejowym zaspokajać pragnienie przy rezerwoarze żelaznym, u którego podstawy rozlewało się dużo wody. Trzech panów: inżynier, oficer i przedsiębiorca budowy, kazali wytoczyć sobie wagon poza stacyę, na upatrzone miejsce i mieli kolejno z budki konduktorskiej czatować na lwa.

Było po pełni, więc księżyc wschodził dopiero po kilku godzinach ciemności, z czego korzystając, trzej panowie położyli się w wagonie i usnęli. Wagon stał na zakręcie, a zatem pochyło, drzwi odchylone dla powietrza, które lekko suwały się na rolkach, na sposób naszych tramwajowych, odsunęły się zapewne własnym ciężarem, jeżeli nie zostały otworzone przez nierozwagę któregoś z panów myśliwych. Dosyć, że lew przyszedł przez drzwi, udusił inżyniera i wyciągnął go daleko poza tor kolejowy. Na drugi dzień znaleziono niedojedzone szczątki i rozszarpane ubranie.

Wypadek ten opowiadał mi świadek naoczny, ów przedsiębiorca budowy kolei, pan Hübner, który spał w wagonie na górnem łóżku i został zbudzony niezwykłem szamotaniem. Zaduszenie ofiary było tak szybkiem, że głosu nie wydała. W mroku nocy rozpoznał Hübner kontury lwa i gdyby był miał strzelbę obok siebie, byłby mógł strzelić, niestety, wszystkie trzy strzelby stały w kącie wagonu za lwem. Trzeci myśliwy, który leżał obok ofiary na drugiem dolnem łóżku, obudził się także i wyskoczył przez otwarte okno na tor, gdzie się potłukł. To wszystko zdarza się tym, którzy mają „szczęście“ do lwów. Lecz są także wypadki, że myśliwy jeździ przez kilka lat na polowanie do Afryki i ani ogona lwiego nie zobaczy. Nie wydarzyło się jeszcze dotychczas, aby lew wszedł do zamkniętego namiotu i porwał człowieka, a tembardziej nie może to nastąpić, jeżeli pilnuje się, aby warta nie spała i ogniska utrzymywała w należytym stanie. Jeżeli ma się osły, koniecznem jest urządzać zeribę, t. j. ogrodzenie z kolczastych krzewów. Lew, który bardzo szanuje łapy, jako podstawę swego bytu, nie przedrze się nigdy przez taki płot. Sposób ten znanym jest ogólnie, nietylko w tych częściach Afryki. W Sudanie całe wsi są cierniami okolone, a drogi wchodowe zasuwają na noc kolczastymi konarami. W drodze powrotnej do Europy poznałem znanego angielskiego malarza, Baden Powel'a, brata jenerała, słynnego z wojny boerskiej. Był na wyprawie myśliwskiej w tym samym czasie, co i ja, a expedycyę odbywał z pewnemi wygodami, bo towarzyszyła mu małżonka. Pan Baden Powel opowiadał mi, że miał z sobą 30 osłów i nie zdarzyło się, aby lew porwał w nocy osła z okolenia kolczastego, a w czasie całej expedycyi, która trwała trzy miesiące, jednego tylko osła lew chwycił podczas marszu w dzień. Z tym za to tak się zręcznie uporał, że dopiero w wieczór spostrzeżono brak, szukając za tobołkami do rozbicia namiotów.

(C. d. n.)

Ze wspomnień starego myśliwego.

Dwa wilki: wściekły i ludożerca.

Przed kilkudziesięciu laty we wsi u moich rodziców zdarzył się straszny wypadek, który tu w krótkości opowiem.

Dwóch gospodarzy, jeden lat 26, krępy i silny mężczyzna, drugi lat czterdzieści kilka, późnym wieczorem paśli woły na łące, tuż pod samą wsią. Znużeni, pokładli się, jeden w jednej, drugi w drugiej kopicy siana, i posnęli. Zbudziło ich gwałtowne szczekanie psa, beczenie i tentent uciekających wołów. Chłopi zerwali się i każdy biegł w stronę swoich bydląt. Pies ujadał ciągle, ale nagle ucichł. Teraz już było wiadomo, co się to święci, lecz ciemność przeszkadzała wszelkiemu ratunkowi.

Wtem, na młodszego człowieka wspina się wilk, tak, że zrobił mu łapą dwie rysy na twarzy i szyi, ale chłop, przytomny, chwycił go za gardło i zaczął dusić z całej siły. Wilk narazie omdlał i opuścił łapy; chłop, niosąc go przed sobą, zaczął wołać:

— Chod'te no, kume, ja wołka uduszył.

Ale wilk uduszony na dobre nie był, oparłszy się łapami o piersi, wydarł mu się i zniknął w ciemności.

Wkrótce drugi człowiek zaczął wołać:

— Kume, ratujte, wołk mene duszyt!

Skoczył pierwszy na pomoc, i wspólnemi siłami przewróciwszy wilka, udusili go rzeczywiście. Podczas tych zapasów wilk przejął dłoń młodszemu człowiekowi. Wypadek ten opowiadał memu ojcu zastępca wójta gminy.

— To wściekły wilk! — zawołałem.

Ale pan zastępca, pseudo myśliwy, zaczął dowodzić, że to wilk z głodu rzucał się na ludzi.

Pobiłem go następnem opowiadaniem. Jeżeli wilk rzuca się na ludzi to tylko w zimie, podczas silnych mrozów; w lecie zaś niema przykładu, żeby się ważył na coś podobnego. Wprawdzie, przed trzydziestu laty w okolicach Lublina, wilk pożarł siedemnaścioro dzieci, ale to był wyjątek. Przeszło pół roku uchodziło bezkarnie temu ludożercy, pomimo, że w każdym wypadku natychmiast dawano znać władzy i że zawsze nazajutrz bywała silna obława. Lecz na tych obławach nikt wilka nie widział. Czy tak zręcznie wymykał się bokiem, czy, prawdopodbnie, po każdem porwaniu dziecka, przenosił się tego samego dnia w inną okolicę, bo zdarzyło się tak, że gdy już obława była w lesie w pełnym ruchu, dano znać z wioski, o półtorej mili odległej, że wilk chciał porwać chłopaka. Ale ponieważ uchwycił go tylko za odzież i pasek, wlokąc prawie po ziemi, nie mógł z nim szybko uciekać, więc go dopędzono, chłopak wyszedł z tej awantury zupełnie zdrów. Było to późną jesienią, na dniu krótkim, niepodobna zatem było przeprowadzić obławy na czas potrzebny. Ale w końcu zabito go, nie wiem już jakim tam sposobem. Wtedy pokazało się, że był to wilk bardzo stary, że miał z zębów tylko pieńki. Nie mogąc zatem przytrzymać żadnego zwierzęcia, rzeczywiście z głodu zaczął chwytać dzieci; dorosłych jednak ludzi nigdy nie zaczepiał. Tak też i tu przypuścić nawet niepodobna, aby ten wilk z głodu napadał na dwóch ludzi. Miał przecież psa, którego zadusił. Wreszcie, ile razy wilk uchwyci bydlę, lub konia, to zawsze najpierw wyrywa mu kawał mięsa z tyłu. Tu zaś na wołach nie znać, tylko poprostu ukąszenia.

Poskutkowało to moje opowiadanie i obydwóch ludzi odwieziono do doktora. W kilka dni nie było już wątpliwości — dwa woły się wściekły. Doktór, obejrzawszy ludzi, starszego odesłał do domu, uznawszy, że dwie rysy, jakie miał na głowie, pochodziły od pazurów; młodszego zaś przez dwa tygodnie zatrzymał w szpitalu, gdzie mu dawano jakieś lekarstwa i przykładano do ręki maść gojącą. Ale chłopu przykrzyło się w szpitalu, prosił się, żeby go uwolnić, na co zgodził się doktór, ale kazał mu jeszcze przez tydzień, czy więcej, zażywać

lekarstwo i maść przykładać. Chłop jednak, przyszedłszy do domu, lekarstwa nie zażywał i maść odrzucił, kontent, że mu się ręka prędko zgoiła.

Długi czas upłynął. Człowiek był zdrów, zapomniano też zupełnie o tym wypadku. Nareszcie w jedenaście miesięcy, gdy akurat przyszła gazeta z opisem doktora, za pomocą jakich środków wyleczył człowieka ze wścieklizny, niestety, tego samego dnia zawiadomiono, że tenże człowiek zachorował na wściekliznę. Odwieziono go do doktora, ale już dla niego nie było ratunku.

W wiele lat potem przywieziono do lecznicy w Warszawie człowieka, bardzo przez wściekłego wilka pokaleczonego. Czy wścieklizna wilcza silniejsza jest od psiej, czy dlatego, że było dużo głębokich ran, czy też podobno za późno był przywieziony, dość, że środki uczone Pasteur'a nie pomogły.

Nigdy nie widziałem z blizka człowieka, dotkniętego taką straszną chorobą, ale słyszałem okropny jego głos.

Jadąc przez wieś, dochodziły mnie z oddalenia jakieś okrzyki, gdym się zbliżył, spostrzegłem na progu drzwi zamkniętych, od chałupy, stojącej o kilkadziesiąt kroków od drogi,, siedzącego człowieka, który nieludzkie, dreszczem przejmujące, wydawał głosy. Że było to w okolicy, gdzie pijanych często spotkać można było, myślałem, że i to jest jeden z takich — nie wiedziałem wówczas, że był to nieszczęśliwy, przez psa wściekłego pokąsany. Przyjechawszy do domu, gdym późnym wieczorem wyszedł na podwórze, słyszałem jeszcze z trzechwiorstowego oddalenia ten okropny głos — i dopiero wtenczas dowiedziałem się prawdy, gdy już biedaczysko umarł.

K. Dębicki.

Broń myśliwska przed 100 laty w Polsce.

(Ciąg dalszy).

O prochu.

Proch najważniejszym jest materyałem dla strzelającego: od dobroci jego albowiem zależy trafne strzelanie, i tyle jest znaczący w myślistwie, ile dobra fuzya. Nie mamy atoli potrzeby rozbierać materyałów do składu jego wchodzących, ani też myśliwych zatrudniać robotą, wymagającą znajomości chemii.

Pozostaje nam tylko poznać dobroć, moc i próbę prochu, ażeby każdy z myśliwych w wyborze się jego nie omylił. Historya zaś jego przekonać nas potrafi o jego użytku i dawności.

Chociaż powszechnem prawie jest mniemaniem, że Berthold Schwartz najpierwszy w końcu 13 wieku sposób robienia prochu wynalazł; wszelako rozumienie to nie zgadza się z rzetelnością: współcześni bowiem: Roger Baco i Albert z Bolstad znali już proch dobrze i sposób robienia jego opisali; nadewszystko zaś wiadomo, iż król węgierski Salomon już w roku 1073 mury Belgradu armatami burzył, a w wieku 12 rozsadzono nim skały w kopalniach Rammelsbergu: aczkolwiek mniemaniu temu Bekmana zaprzecza Wetheim, dowodząc, że ta wiadomość stosuje się tylko do rozsadzania skał innymi sposobami.

Podobniejsza do prawdy, że proch wynaleziony został przez Chińczyków, którzy go już przed tysiącem sześciuset lat znali, używając bardziej do fajerwerków, aniżeli do wojen. Inni twierdzą, że Indyanie znać mieli broń ognistą i proch jeszcze w najdawniejszej starożytności, jak się z ich dzieła we wstępie do prawa Gentoo okazuje, w którem zabronione zostało używanie broni ognistej i prochu.

Najprawdopodobniej, jak się zdaje, wprowadzony został proch przez Saracenów z Afryki do Europy, gdzie w 13 i 14 wieku sposób robienia jego wydoskonalono. W tym to właśnie czasie i życie *Schwartza* przypada. *Hanschi-Chalaff* w dziele *Takwimit-Tewarich* wynalazek robienia prochu przypisuje pod artykułem Borut (proch ruszniczy) sycylijskiemu mędrcowi, Salis, twierdząc, że ten zajmując się doświadczeniami chemicznemi w Alexandryi, przypadkowo proch złożył, i że ztamtąd w 40 roku *Hetschirg* do Konstantynopola się przeniósł, gdzie uczył proch robić, bomby i granaty wypuszczać. Ztąd i Frankowie wydoskonalili się w sztuce wojennej. Zdaje się wszelako, że użycia jego wtedy do wojen nie znano lub rzadko używano w tym celu. W Europie używać go poczęto do broni ognistej w połowie 14-go wieku.

Próba mocy prochu.

Proch dobry ma kolor światło-szarawy, w błękit nieco fioletowy wpadający, nożem na papierze białym rozstarty, jednostajny daje proszek. W rozcieraniu uważa się, czy niema gruzłów, czy jest dosyć równy i czy nie pomieszany z mąką prochową brudzącą palce?

Dobry niemniej i prosty jest sposób następujący: sypie się drachma prochu na biały papier, i drucikiem do czerwoności rozżarzonym (a nie węglem, który nieprędko pali i proch wilży) zapala się. Na nim w spłonieniu prochu skry sypać się nie powinny, ani też zostawiać nieczystości. Kiedy jest należycie zrobiony, dym prosto w górę się wznosi i nie osmala papieru, ani zostawia szramów promienistych, czarnawych po spaleniu. Same ziarna prochu powinny być twarde, jednakże nie tak, aby się na desce nie dały palcem rozetrzeć.

Proch mający się doświadczać, porównywa się z dobrym przez wystrzelanie 64-funtowej kuli nabojem od 3 uncyj z moździerza; najlepszy gatunek cylindrowym zwany, daje strzał na 180 stóp odległy, kiedy słabszy albo dwa razy był suszony, nie dalej kulę niesie, jak 107, lub 117 stóp odległości.

Proch muszkietowy następnym probuje się sposobem: muszkiet nabija się ładunkiem od 4-ch drachm kulą stalową, a strzela 39 stóp i 10 cali przez pewną liczbę deseczek wilgotnych z drzewa wiązowego na pół cala grubych i odległych na $^3/_4$ cala od siebie. Najlepszy przeszywa zwyczajnie 15 — 16 deseczek, a 2 razy przesuszony zaledwie 9 lub 12.

Co do czystości użytych do robienia prochu materyałów, doświadcza się przez wystawienie go na działanie wilgoci powietrza atmosferycznego. W tym celu bierze się po funcie każdego prochu najściślej odważonego, i zostawia przez dni 16 — 18 w otwartem powietrzu: w takim razie im z czyściejszych był robiony materyałów, tem go mniej na wadze przybędzie. Na 100 funtach prochu dobrego, nie więcej powinno przybyć ciężaru, tylko uncyi 12, czyli cokolwiek mniej niż jedna setna.

Inni probują mocy prochu przez wystrzał kulą zwyczajną, która o kroków 300 dwie deski sosnowe na półtora cala grube przeszyć powinna.

Dobrzy myśliwi zamiast utrzymywania prochu w rożkach nieszczelnych, w worku skórzanym lub płóciennym, utrzymują w naczyniu szklannem, mosiężnem, lub miedzianem i dobrze zatkniętem, w miejscu nie gorącem: bo przez ciepło cząstki siarczyste topią się i proch w gruzełki się skleja, oraz prędkiemu spłonieniu przeszkadza. Również, gdy jest utrzymywany w miejscu wilgotnem, na powierzchni ziaren odłącza się saletra, która łatwo przyciąga wilgoć, a przez to nie tak szybko zapala. I więcej to się zdarza, im saletra mniej jest oczyszczona, i wiele obcych soli zawiera.

O szrócie i innych materyałach ściągających się do broni ognistej.

Jako wybór szrótu nie mało wpływa do dobrego strzelania; tak zasługuje na uwagę każdego myśliwego. Dobroć jego na tem zależy, aby był równy, okrągły, gładki i wewnątrz niedziurkowaty, czyli bez wydrążenia. U nas

Angielskim w handlu nazywany, jest lepszy od zwyczajnego krajowego: bo niema wad wyżej opisanych. Robota jego w fabrykach zależy na roztopieniu ołowiu i przelewaniu przez durszlak z dziurkami upodobanej wielkości. Wszelako, gdy tym sposobem nie łatwo, albo niewiele ziaren zaokrąglonych otrzymuje, przeto osobnych na to używać wypada środków. W tym celu roztapia się ołów w łyżce żelaznej, i dodaje się bardzo małą ilość arszeniku lub auripigmentu, który bardzo ułatwia formowanie się kulek sferycznych. Po stopieniu tak zaprawionego ołowiu wylewa się do narzędzi walcowatych ze wszystkich stron przedziurawionych, w takim razie ołów płynny rozdziela się na krople, przeciska stosownej wielkości do dziurek i spuszcza się z pewnej wysokości do naczyń wodą napełnionych. Lecz, że nie wszystkie ziarna kulistej nabierają formy; przeto oddziela się szrót zupełnie zaokrąglony, posypując go na obszerną a długą i gładką w kierunku ustawioną płaszczyznę, z której okrągłe środkiem się staczają, niekształtne zaś gruszkowate lub podłużne spadają po bokach do naczyń podstawionych, kształtu spłaszczonego lejkowatego, które we środku kilka mają przedziałów. Potem gatunkuje się szrót otrzymany na środkowy czyli zupełnie okrągły i mniej foremny, tudzież podług wielkości ziaren przesiewając go przez durszlaki lub przetaki rozmaitej wielkości dziurek.

Wiedzieć atoli potrzeba, że im się szrót w czasie jego odlewania czyli cedzenia ze znaczniejszej spuszcza wysokości, tem zawsze okrąglejszy bywa. Tak robi się w Anglii szrót patentowany najwyborniejszy, w osobnej fabryce w *Southwark*, gdzie piec do topienia ołowiu założony jest na wierzchołku wieży, na 100 przeszło stóp wysokiej, z której odlewa się do wody w naczyniach u spodu podstawionych: w takim razie szrót spadający, nim dosięgnie wody, już cokolwiek przestyga, a krople ołowiu zupełnie okrągłe się otrzymują.

Ponieważ szrót w odlewaniu rozmaitej otrzymuje się grubości, przeto w fabrykach na ośm dzieli się numerów, których znajomość jako i użycie do rozmaitej zwierzyny, i w różnej porze czasu, dla każdego myśliwego nie powinna być obca.

We wrześniu, gdy ptastwo w locie bywa cięższe, i zające nie gęsto okryte turzycą, myśliwi do strzelania młodych cietrzewi, kuropatw i t. p. używają szrótu nr. 5 i 6, Strzał w mecie czterdziestu kroków bywa dostateczny.

Nie mniej w tej porze do strzelania bekasów, dubeltów służy nr. 6, kszyków zaś nr. 7 i tenże wiosną do słomek ma być użyty. Do ptastwa drobnego, jako to: kwiczołów, szpaków i t. p. w mecie blizkiej używać dunstu czyli nr. 8.

Od października w późną jesień i przez całą zimę, gdy ptastwo i zwierzyna zdaje się być od natury przyodziane, a wszelkie ich schronienia obnażone, łatwiej mogą spostrzedz myśliwego na tokowisku lub w swojem łożysku, i śmiertelnego ciosu uniknąć; przeto do ptastwa grubszego, jakiemi są głuszce lub cietrzewie, na jednych szrótu używać potrzeba nr. 3, a na ostatnich nr. 4. Te numery, w każdej porze na zające zdają się być u naszych myśliwych najużywańsze: bo zające ubić można o kroków 60: również z gęsto bijącej fuzyi strzelać można tym szrótem do ptastwa o kroków 70.

Do strzelania lisów i zajęcy na przynętach zimą używać szrótu nr. 1 i 2: bo zwierzęta te częściej zbliżają się około domów w czasie wielkich zawiei, a tylko podstrzelone uchodzą do lasu, tracą farbę, w gęstwinie zapadają i giną. Dla tego na przynętach wszelkich zimą w nocy, nie dalej strzelać pomienionych zwierząt, tymi numerami, tylko o kroków 50, a tak albo nie daleko odejdą, albo na miejscu zostaną.

Ptastwo drobniejsze gromadami chodzące, w mecie niedalekiej pomyślnej jest strzelać szrótem cieńszym, niżeli grubym: bo cieńszy większą zajmuje przestrzeń i gęściej trafia; dla tego fuzye dubeltowe są wygodniejsze od pojedyńczych, że do jednej rury dawać można nabój szrótu drobniejszego, a do drugiej w mecie odleglejszej, grubszego.

Szrót pospolicie używany do strzelania saren i młodych wilków, w handlu zerem odznaczony, cieńszy jest od loftek, a grubszy od szrótu nr. 1.

Loftki. Są to kulki foremne okrągłe, z formy odlewane; używają się pospolicie do strzelania wilków stałych, w ostępie w czasie obław. Na nabój do strzelby pojedyńczej, kalibru większego, nie dawać więcej nad 8: do fuzyi zaś dubeltowej lub małego gatunku 4, a najwięcej 6.

Gloty. Naszym myśliwym dobrze znajome, kształtu graniastego, z kuli na cztery lub na ośm części posiekane, od czego noszą nazwisko grankulek; lecz niektórzy nie właściwie nazywają grankulkami pomienione kulki, czyli loftki, na wilki używane.

Kule. Używają się tylko w łowiectwie na grubego zwierza, jako to: na dzika, niedźwiedzia, łosia i t. p., mają być odlewane wedle kalibru fuzyi, do której nie daje się więcej nad jedną kulę.

Pieńki. Oddawna znajome używały się do nabijania sztućca pospolicie na niedźwiedzia. Są to walce z ołowiu odlane na cal długie i wedle wylotu sztućca grube: jeden pieniek sztęflem żelaznym na proch osadzony, zadaje strzał bolesny, i wielką ranę.

O skałkach czyli krzemieniu. Dwa mamy gatunki krzemienia, biały i brunatny. Obydwa używają się do zamku fuzyi. Pierwszy, gdy jest z wejrzenia biały i przezroczysty bez żadnych ciemnych muszek, od brunatnego bywa lepszy. Skałki zaś jaspisowe do twardych i sprężyście działających sprężyn nie tyle są dobre, jak poprzednie: bo prędko się zbijają i pękają.

O miarce do nabijania strzelby. Dla zabezpieczenia się od trącenia strzelby, i po doprowadzeniu jej do celi różnemi nabojami do dobrego bicia: aby utrzymać zawsze jednostajny nabój prochu i szrótu, myśliwi używają do tego miarki z rogu lub rzemienia: w której wielkość naboju albo wewnątrz jej naznacza się znakiem, po której nasypują: albo co jest dogodniej, do każdej fuzyę oddzielną mają.

O kłakach czyli przybitkach. Wielu myśliwych rozumie, że wszelkiego rodzaju kłaki, powolnie lub tęgo sztęflem w rurze przybite, nie wpływają do ostrego i gęstego bicia. Chociaż kłak szrotowy nie tyle się uważa w tym względzie, ile prochowy; powinien jednak składać się z cząstek miękkich i elastycznych, aby szczelnie zatykając rurę, w czasie explozyi prochu mógł sprężyście trącić o nabój szrótu.

Jeżeli kłak z twardego papieru lub innych materyj twardych, tęgo będzie przybity, fuzya w czasie strzału trąci w tył, i szrót w przedmiocie rozrzuci. Również, gdy będzie miękki i lekko do rury zatknięty, moc prochu nie będąc dostatecznie zatamowaną, straci wiele swoich własności: bo nie będzie miała siły sprężystego trącenia o nabój szrótu, który przez to się rozsiewa i słabo uderza.

W takiem zdarzeniu byłoby najskuteczniej ze starych kapeluszy filcowych, lub z wojłoku wycinać krążki wielkości kalibru fuzyi i ich używać za kłaki. Do wycinania ich używa się durszlak żelazny ostry, wedle wielkości kalibru rury. Durszlak ten ma podobieństwo do rymarskiego, pospolicie do dziurawienia pasów i innych rzemiennych potrzeb używany: koniec, którym się wycina, jest ostry i rurkowaty. Nasi myśliwi używają pospolicie pakuł lnianych i z kostry oczyszczonych. Kłak zaś szrótowy ma być lekko zatknięty.

Korespondencye „Łowca Polskiego".

Z Ukrainy, *(w październiku).*

Słonki ukraińskie zrobiły nam w tym roku „kawał". Normalny ich przelot zaczyna się w końcu września i pojawiają się one z początku w małych ilościach, a zwykle między 1 a 15 października n. s. wypada paro lub kilkodniowy masowy nalot i wtedy ilość słonek po lasach, sadach lub gajach jest nieraz bardzo znaczna. Tymczasem

w r. b. miłe te ptaszki zaczęły się pojawiać na Ukrainie jeszcze przed 20 września, a masowy nalot, czyli jak go miejscowi nazywają — „wysypka“ — przypadł na 23 i 24 września. Była ich wtedy taka masa, że nadleśniczy medwiński, p. Ficowski jednego dnia na kilkunastomorgowej przestrzeni podniósł ich przy pomocy bardzo lichego psa aż 26 sztuk; znaczy to, że gdybyśmy wtedy polowali, jak zwykle nagankami, możnaby dziennie bić po jakie 100 słonek. Po 24 września ilość tych ptaków zaczęła się szybko zmniejszać i gdyśmy przybyli d. 4 października do Medwina, dóbr hr. Ksawerego Branickiego, już tylko pozostali maruderzy w bardzo małej ilości. Według zdania miejscowych rzeczoznawców, był to już koniec przelotu. Spotykało się zwykle kilka tylko słonek dziennie, a te trzymały się przeważnie po miejscach nizkich, zarośniętych olszyną i podszytych pokrzywami. Przyczyną tak wczesnego przelotu słonek były niezwykłe w tym roku warunki atmosferyczne. Całe lato padały deszcze na Ukrainie, a dopiero w połowie września zaczęła się posucha, to jest w porze, kiedy zwykle deszcze padają. Posucha ta, wskutek której grunt wysechł niepomiernie, trwała do naszego wyjazdu, to jest do 10 października. Słonki przeczuły ją i pociągnęły na południe, aby prędzej dostać się do swych zimowisk.

Z drugiej znów strony tak zwane „czasy wolnościowe“ odbiły się tam fatalnie i na innych zwierzostanach, a szczególniej sarny ucierpiały podczas tych ruchów dotkliwie. Chłop ukraiński jest bardzo skory do reflektowania na cudzą własność; gdy mu więc „opiekunowie ludu“ zaczęli wmawiać, że wszystka ziemia do nich należeć będzie, nie trzeba było długo czekać na to, aby ukraińcy poczęli ciąć cudze lasy, wypasać cudze łąki, zaorywać cudze pola; obdarzeni zaś żyłką myśliwską wzięli się do wystrzeliwania cudzej zwierzyny. Na pierwszy ogień poszły, ma się rozumieć, sarny, bo to największe sztuki z miejscowej zwierzyny, więc na nie i naboju nie szkoda. Rezultatem tej niecnej gospodarki było zredukowanie do *minimum*, a w niektórych okolicach — do zera miejscowych sarnostanów, a teraz trzeba będzie lata czekać, aby zwierzynę do dawnego stanu doprowadzić.

Nic też dziwnego, że wobec tak niesprzyjających warunków, rezultat naszego polowania był bardzo słaby. Po pięciodniowych łowach z naganką mieliśmy zaledwie 12 słonek, 1 kurkę łąkową, 3 kuropatwy *(rara avis* na Ukrainie!), 1 przepiórkę, 3 lisy i 57 zajęcy. Ani jednego rogacza tam, gdzie przed kilku laty padało ich kilkanaście w ciągu tego samego czasu!

Natomiast ci z nas, którzy nie mieli nigdy sposobności doświadczyć wrażeń podczas trzęsienia ziemi, mogli doskonale obserwować ten rzadki u nas fenomen, jaki nawiedził część Wołynia, Ukrainę i Podole w d. 6 października o godzinie 11 minut 45 wieczorem.

Jan Sztolcman.

Strzelanie do gołębi.

Sezon się kończy. Kulminacyjny punkt sezonu — rozegranie championatu w dniach 6 i 7 b. m. już przekroczyliśmy. Ostatnie strzały na placu zamilkną o zmroku 29 b. m.

Championat — pierwszy w Warszawie — przedstawia się bardzo interesująco. Rozegrany przy prześlicznej pogodzie, zgromadził na placu liczne towarzystwo. Niezwykle trudne warunki konkursu nie odstraszyły sportsmenów, zapisało się doń 25-ciu strzelców, a trzeba było strzelać do 25 gołębi, z tego do 10 na 26 m. i do 15 na 27 m., zabić zaś należało 22, w czem konieczną była serya 10 gołębi. Stawka wynosiła 10 rb.

A oto rezultat strzelania:

hr. Zyg. Plater 1111111111110111111111111 . . .	24/25
hr. Jan Łubieński 110110111101	10/12
br. Jan du Puget-Puszet 111111011010	9/12
Ant. Wolski 111511010110	8/12
Wacł. Froelich 111010111110	9/12
Józef Gresser 0011101110	6/10
hr. Henr. Plater 111100110111111	12/15
hr. Aug. Potocki 11011111111011111110	17/20
hr. Eug. Toll 1001111110	7/10
Kaź. Wodziński 1111111110111111111010 . . .	19/22
Henr. Kotkowski 1101111100110	9/13
Stan. Eynarowicz 11011110010	7/11
Feliks Rożyński 111110110111101	12/15
Stan. Zaborowski 1111111111101111110111111 .	23/25
Wład. Froelich 101011101	6/9
Stan. Lilpop 101111000	5/9
Stef. Kretkowski 1000	1/4
Dom. Łępicki 101110111011111111111111 . . .	21/24
Mik. Kawelin 10111101111110	11/14
Tad. Mostowski 0101101110	6/10
Kaź. Jasiński 01010	2/5
Jan Głuski 11111111100111111110	17/20
Stan. Rozenwert 1111101111111110111111111 . .	23/25
Henr. Lilpop 111101111111111101011111	21/24
hr. Konst. Plater 001110	3/6

Z powyższego widać, że nagrodę w postaci złotego medalu otrzymał hr. Zygmunt Plater, który świetnie spełnił warunki konkursu. Hr. Z. Plater strzela bardzo szybko, rzadko który gołąb ma czas oddalić się o 1 do 2 metrów od skrzynki, gdy pada pierwszy strzał, po nim bezpośrednio następuje drugi, często już niepotrzebny t. zw. „dla pewności“. Hr. Plater strzela z dubeltówki Greenera imperial, ładunkami nabijanymi małodymnym prochem firmy „Sokół“.

Oprócz medalu złotego pierwszy strzelec w championacie otrzymał 50% stawek, co wyniosło 125 rb.

Była jednak i druga nagroda w postaci pieniężnej, a mianowicie 25% stawek. O nią konkurowali tylko dwaj strzelcy, pp. St. Zaborowski i Stan. Rozenwert, jako mający tylko po dwa zera. Utrzymali się oni obydwaj na jednym poziomie, ponieważ jednak p. Zaborowski miał obowiązującą seryę z 10 gołębi, której p. Rozenwert nie mógł zrobić z powodu nieszczęśliwie wypadających mu zer, przeto II nagrodę otrzymał p. Zaborowski (62 r. 50 k.).

Strzelec to bardzo pewny i wyborny myśliwy. Z początku sezonu nie mógł opanować swoich nerwów, walczył na stendzie bez powodzenia. Ale wprawa i obycie się z deską stendową zrobiły swoje, zdobył więc drugą nagrodę w sposób mało ustępujący nagrodzie pierwszej. P. Zaborowski strzela z dubeltówki firmy Holland and Holland, ładunkami nabijanymi „Sokołem“.

Wogóle pierwszy Championat warszawski dał rezultaty nieoczekiwanie dodatnie, jeśli zwrócimy uwagę, że po za dwoma pierwszymi nagrodzonymi, było jeszcze trzech strzelców, którzy mieli żądaną seryę z 10 gołębi, a mianowicie pp. K. Wodziński, D. Łępicki i H. Lilpop, przerwali oni strzelanie, nie dochodząc do 25 gołębi, tylko dlatego, że byli kandydaci do nagród, posiadający i serye i mniejszą ilość zer, można jednak z pewną słusznością wnosić, że doszliby do końca, spełniając wszystkie warunki, wymagane dla otrzymania nawet pierwszej nagrody.

Obyśmy byli złym prorokiem, ale zdaje nam się, że w tak świetny sposób rozegranego Championatu, w Warszawie nie prędko będziemy świadkami.

Po za tą główną nagrodą w okresie czasu, z którego zdajemy dziś sprawę, rozegrano jeszcze dwie nagrody: w d. 30 września nagrodę p. br. Jana du Puget-Puszeta, w postaci gustownego złotego żetonu za 2 pełne dublety na 24 m. (rozgrywka na 26 m.) —i w d. 7 października nagrodę Mławki, ofiarowaną przez p. Tadeusza Mostowskiego, którą stanowiły dwa żetony złoty i srebrny.

Rezultaty tych strzeleckich zapasów znajdą czytelnicy poniżej. Tutaj chcemy tylko zwrócić uwagę na zawodność wszelkich prognostyków przy strzelaniu do gołębi. Nagrodę br. du Puget-Puszeta poprzedzała pula dubletowa, w której na czele stanęli pp. Feliks Rożyński, br. du Puget-Puszet i p. Stanisław Lilpop. Gdy następnie przystąpiono do rozegrania nagrody, wygrał ją w doskonałym stylu hr. Eugeniusz Toll, robiąc trzy pełne dublety i bijąc 10/14 gołębi, p. Stanisław Rosenwet, który się z hr. Tolem rozgrywał, zrobił 9/14 gołębi. Tymczasem w poprzedzającej puli hr. Toll nie zrobił ani jednego dubletu, a p. Rosenwert w dwóch dubletach nie zabił żadnego gołębia.

Znaczy to, że do zwycięztwa na stendzie trzeba nie tylko umieć dobrze strzelać, ale i mieć dużą dozę ... szczęścia.

Identyczne te same uwagi dotyczą nagrody Mławki. W puli próbnej żwyciężcami byli pp. Rosenwert, Wolski i F. Rożyński, a nagrodę wzięli hr. Zygmunt Plater i p. St. Zaborowski.

J. Z.

Z placu.

Dnia 24 września.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Wpis 5 rb. I—50%, II—25%. Pp. Jan Głuski 27 m. 6/6, ord. hr. M. Zamoyski 27½ m. 6/6, podzielili się nagrodami.

Strzelali pp.: hr. Jan Sobański, A. Piędzicki, St. Lilpop, K. Jasiński, hr. A. Ilinski-Kaszowski, Stefan Kretkowski, Konst. Rembieliński.

Pula (handicap na 5 gołębi. Wpis 5 rb.

Pp. Jan Głuski 27 m. 8/8, ord. hr. M. Zamoyski 27½ m. 8/8, podzielili się nagrodami.

Strzelali pp.: hr. Jan Sobański, A. Piędzicki, St. Lilpop, A. hr Ilinski-Kaszowski, Stef. Kretkowski, Konst Rembieliński.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Wpis dowolny (1, 2, 3 rb.)

Pp. Konst. Rembieliński 26 m. 5/5 (20 rb.), Jan Głuski 27 m. 3/4 (10 rb.)

Strzelali pp.: hr. Jan Sobański, A. Piędzicki, St. Lilpop, A. hr. Ilinski-Kaszowski, St. Kretkowski, ord. hr. M. Zamoyski.

Pula (handicap) na 5 gołębi Wpis 5 rb. I—50%, II—25%.

Pp. Jan Głuski, 27 m. 12/12, hr. Tom. Zamoyski 27 m. 11/12

Strzelali pp.: hr. Jan Sobański, St. Lilpop, Stef. Kretkowski, ord. hr. M. Zamoyski.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Wpis 5 rb. I—50%, II—25%.

Pp. J. Głuski 27 m. 7/7, ord. hr. Zamoyski 27½ m. 7/7, podzielili się nagrodami.

Strzelali pp.: hr. Jan Sobański, St. Lilpop, Al. hr. Ilinski-Kaszowski, Stef. Kretkowski, Konst. Rembieliński.

Dnia 30 września.

Próbna pula dubletowa na 24 m., 2 pełne dublety. Wpis 5 rb. I—50%, II—25%, III—stawka.

Pp. Feliks Rożyński 1/1, 1/0, 1/0, 0/1, 1/0, 1/0, 1/1, = 9/14, br. du Puget-Puszet, 1/1, 1/0, 1/0, 1/0, 1/0, 1/0, 1/1, = 9/14, St. Lilpop 1/1, 1/0, 1/0, 1/0, 1/0, 1/0, = 6/12.

Dwaj pierwsi podzielili się nagrodami (po 21 rb. 80 k.).

Strzelali pp. hr. H. Plater, hr. E. Toll, Aug Łempicki, Seweryn Kotkowski, hr. Z. Plater, Ant. Wolski, K. Wodziński, Dom. Łempicki, Jan Głuski, Stanisław Rozenwert

Nagroda ofiarowana przez Jana br. du Puget-Puszeta, dwa pełne dublety na 24 m., rozgrywka na 26 m. Wpis 10 rb. Strzelających ma być najmniej 10-ciu. I—złoty żeton i 30%, II—30%, III—15%. Na drugą i trzecią nagrodę wymagany tylko jeden pełny dublet.

Pp.: hr. E. Toll 1/1, 1/1, 1/0, 1/0, 1/0, 1/0, 1/1 = 10/14, St. Rozenwert 1/1, 1/1, 1/0, 1/0, 1/0, 1/0, 1/0 = 9/14, hr. Jerzy Skarbek 1/1, 1/1, 1/0, 0/0 = 5/8.

Oprócz żetonu nagrody wynosiły: I—36 rb., II—36 rb., III—18 r.

Strzelali również pp.: hr Z. Plater 1/0 0/1, hr. H. Plater 0/1 /0, K. Wodzinski 0/1 0/1, Sewer. Kotkowski 1/0 1/0. Dom. Lempicki 1/0 1/1, Jan Głuski 1/1 1/0, Aug. Łempicki 1/0 1/0 i St. Lilpop 1/0 1/1.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis dowolny (5, 10 rb.).

Pp. hr. Zyg. Plater 28 m. 15/15, Feliks Rożyński 23 m. 15/15 Podzielili się nagrodami (po 37 rb. 50 k.).

Strzelali pp. hr. H. Plater, K. Wodziński, D. Lempicki, hr. J. Skarbek, J. Głuski, St. Rozenwert, A. Łempicki, br. du Puget-Puszet.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 10 rb. I—50%, II—25% III—stawka.

Pp. St. Rozenwert 26 m. 8/8, Aug. Łempicki 27 m. 8/8, St. Lilpop 26½ m. 7/8.

Dwaj pierwsi podzielili się nagrodami (po 36 rb 25 k.)

Strzelali pp.: hr. H. Plater, hr. Z. Plater, K. Wodziński, D. Łempicki, hr. J. Skarbek, J. Głuski, F. Rożyński, S. Kotkowski.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis dowolny (5 i 10 rb.).

Pp. F. Rożyński 26 m. 14/14, St Rozenwert 26 m 14/14.

Podzielili się nagrodami (po 35 rb. 50 k.).

Strzelali pp: hr. Z Plater, hr. H. Plater, hr. J. Skarbek, J. Głuski, A. Łempicki, St. Lilpop. A. Wolski, C. Lisowski, A. Horn.

Dnia 1 października.

Pula próbna (handicap) na 1 gołębia. Wpis 5 rb. I—50%, II—25%, III—stawka.

Pp. St Rozenwert 26 m. 9/9, Antoni Wolski 26 m. 8/9. Feliks Rożyński 26 m. 8/9.

Pierwsza nagroda wynosiła 19 rb. 50 k. Dwa ostatni podzielili się drugą nagrodą (po 7 rb. 12½ k.).

Strzelali pp. Jan Głuski, A. Łempicki D. Łempicki, hr. Z. Plater, hr. H. Plater, St Lilpop.

Nagroda Mławki (handicap) na 5 gołębi, w tem 4 rzędowe; rozgrywka na 30 m. Wpis 5 rb. I—złoty żeton i 30%, II—srebrny żeton i 30%.

Pp. hr. Z. Plater 28 m. 11111111111111111=17/17, St. Zaborowski 25 m. 11111111111111110=16/17, Aug. Łempicki 27 m. 111111 111110=11/12, hr. E. Toll 25 m. 111110=5/6, Dom. Łempicki 26 m. 10=1/2, Ant. Wolski 26 m. 111111110=8/9, St Lilpop 26½ m. 10=1/2, St. Rozenwert 27 m. 01=1/2, hr. H. Plater 23 m. 11111111110=10/11, Jan Głuski 27 m. 1110=3/4, Jan br. du Puget-Puszet 27 m. 111111110=8/9.

Dwaj pierwsi otrzymali żetony: hr. Z. Plater—złoty, p. St. Zaborowski—srebrny i po 18 rb. ze stawek.

Pula (handicap) na 10 gołębi. Wpis dowolny (5 i 10 rb.).

Pp. hr. H. Plater 23 m. 15/15 (62 rb 50 kop.), br. du Puget-Puszet 27 m. 14/15 (31 rb. 25 k.).

W strzelaniu przyjmowało udział 15 uczestników.

Pula na 31 m. na 3 gołębie. Wpis 5 rb. I—75%.

P. Aug. Łempicki 3/3 (18 rb. 75 k.).

Strzelało 5 uczestników.

Dnia 6 października.

W dniu tym rozgrywano pierwszy dzień Championatu, którego rezultat podaliśmy na początku dzisiejszego sprawozdania. Nadto rozegrano:

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis 5 rb. I—50%, II—25%.

Pp. F. Rożyński 27 m. 7/7 (22 rb. 50 k.), K. Wodziński 25½ m. 6/7 (11 rb. 25 k.).

Przyjmowało udział w tej puli 9 strzelających.

Dnia 7 października.

Dokonano rozgrywki Championatu, a następnie rozegrano następujące pule:

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis 5 rb. I—50%, II—25%, III—stawka.

Pp. Feliks Rożyński 26 m. 6/6 (29 rb. 37½ k.), Dom. Łempicki 26 m. 6/6 (29 rb. 37½ k.), St. Rozenwert 26 m. 5/6 (2 rb. 50 k.), br. du Puget-Puszet 27 m. 5/6 (2 rb 50 k.).

Dwa pierwsi podzielili się I i II nagrodami, dwaj ostatni podzielili się nagrodą III-ą.

Przyjmowało udział w strzelaniu 17 strzelców.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis 5 rb. I—50%, II—25%, III—stawka

Pp. Jan Głuski 27 m. 13/13, Feliks Rożyński 26 m. 13/13, Ant. Wolski 26 m. 13/13, br. du Puget-Puszet 27 13/13.

Z powodu zupełnego zmierzchu przerwano rozgrywkę i strzelcy podzielili się nagrodami, biorąc po 14 rb. 06 k.

Strzelających było 15-tu.

Dnia 11 października.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 3 rb. I—75%, II—stawka.

Pp.: Jan Głuski 27 m. 5/5 (8 rb. 25 k.), Leon Dzięgielewski 25 m. 4/5 (3 rb.).

Strzelało 5 uczestników.

Pula (handicap na 1 gołębia. Wpis 3 rb. I—50%, II—25%.

Pp.: Jan Głuski 27 m. 10/10 (12 rb.), Stefan Zaborowski 25 m. 9/10 (6 rb.).

Strzelało 8 uczestników.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis dowolny (3 i 5 rb.).

P. Jan Głuski 27 m. 3/3 (21 rb. 75 k.).

Strzelało 8 uczestników

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis dowolny (3 i 5 rb.).

Pp. Stanisław Zaborowski 25 m. 5/5 (13 rb. 85 k.), ks. Ludwik Czetwertyński 26 m. 5/5 (13 rb. 85 k.).

Podzielili się nagrodami

Strzelało 10 uczestników.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis dowolny (2 i 3 rb.).

P. Jan Zaborowski 26 m. 9/9 (15 rb.).

Strzelało 7 uczestników.

Dnia 12 października.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis 3 rb. I—75%.

P. Jan Zaborowski 26 m. 7/7 (9 rb).

Strzelało 4 uczestników.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis 3 rb. I—75%.

Pp. Jan Zaborowski 26 m. 10/10 (4 rb. 50 k.), hr. St. Zyberk-Plater 25 m. 10/10 (4 rb. 50 k.).

Podzielili się nagrodą.

Strzelało 4-ch uczestników.

Pula (handicap) na 1 gołębia Wpis 3 rb. I—75%.

Pp. Jan Zaborowski 26 m. 6/6 (4 rb. 50 k.), hr St. Zyberk-Plater 25 m. 6/6 (4 rb. 50 k.).

Podzielili się nagrodą.

Strzelało 4-ch.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis 3 rb. I—75%.

Pp. St. hr. Zyberk-Plater 25 m. 8/8 (9 rb.), Jan Zaborowski 26 m. 8/8.

Rozegrano się w następnej puli.

Strzelało 4-ch.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis 3 rb. I—75%.

Pp. hr. St. Zyberk-Plater 25% 6/6 (11 rb. 25 k.), Jan Głuski 27 m. 6/6.

Rozegrano się w następnej puli.

Strzelało 5-ciu.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Wpis 3 rb. I—75%, z tego II—stawkę.

Pp. hr. St. Zyberk-Plater 25 m. 3/3 (8 rb. 25 k.), hr. J. Skarbek 23 m. 3/3 (3 rb.).

Rozegrano się w następnej puli.

Strzelało 5-ciu.

Pula (hanicap) na 3 gołębie. Wpis 3 rb. I—75%, z tego II—stawka.

Pp. Stefan Zaborowski 26 m. 111=3/3 (8 rb. 25 k.), hr. St. Zyberk-Plater 25 m. 11011=4/5 (3 rb.).

Strzelało 5-ciu.

Pula dubletowa na 24 m., na 2 dublety. Wpis dowolny (2 i 3 r.)

P. St. hr. Zyberk-Plater 1/1 1/0 (6 rb.).

Strzelało 3-ch.

Pula dubletowa na 24 m., na 2 dublety. Wpis dowolny (2 i 3 rb.).

Pp. Stefan Zaborowski 1/1 1/1 (4 rb. 50 k.), Jan Głuski 1/0 0/0 1/1 1/0 1/0 1/1 1/1 (1 rb. 50 k.).

Strzelało 3-ch.

Należy zaznaczyć, że w dniu tym p. Jan Zaborowski i hr. St. Zyberk-Plater zrobili po 35 gołębi rzędowych—jeżeli zliczymy razem strzelane przez nich gołębie w powyższych pulach.

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Na posiedzeniu Delegacyi Wyborczej w d. 5 października następujący kandydaci zaliczeni zostali w poczet Członków Rzeczywistych: pp. Kobierzycki Bronisław ze Strobina, Rembowski Jan z Warszawy, Patzer Jan z Warszawy, Maltz Stefan z Warszawy, Zieliński Stanisław z Warszawy, Królikowski Włodzimierz z Warszawy, Rohn Ludwik z Warszawy, Sokołowski Karol z Warszawy, Zaborowski Stefan z Węgrowa, Stecki Józef z Warszawy, Olędzki Feliks z Miedzechowa.

Posiedzenie Rady, 14 października. P. W. Stuczyński z Częstochowy zwraca się z prośbą do Rady o wskazanie, w jaki sposób możnaby założyć w Częstochowie pododdział Warszawskiego Oddziału. Ponieważ pododdziałów my tworzyć nie możemy, Rada postanowiła zaproponować p. S, aby tamtejsi myśliwi zawiązali kółko, przystąpili gremjalnie do Warszawskiego Oddziału, a będą korzystali ze wszystkich praw Członków i Rada wszelkie ich zamierzenia popierać będzie.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W dniach 28, 29 i 30 września, oraz 1 października odbyła się w Willanowie Ksawerego hr. Branickiego serya polowań na kuropatwy z naganką. Pierwsze trzy dni polowano w 8 strzelb, ostatniego zaś—w 6. Rezultat polowania był następujący:

Wolica: 165 kuropatw, 4 bażanty i 2 przepiórki.

Willanów: 229 kuropatw i 3 bażanty.

Willanów: 198 kuropatw i 1 jastrząb.

Wolica-Willanów (przy silnym wietrze, który utrudniał koncentrowanie kuropatw; tego dnia było tylko 6 strzelb i polowano do 4-ej, a nie do 6-ej, jak zwykle): 115 kuropatw.

Ogólny więc rezultat tych czterodniowych łowów był następujący: 707 kuropatw, 7 bażantów, 2 przepiórki i 1 jastrząb, czyli 717 sztuk.

Królem polowania był Stanisław hr. Wodzicki z Galicyi, który miał na rozkładzie 179 kuropatw.

Zaznaczyć wypada, że wszystkie kuropatwy były zabite na nagankach, gdyż ani jednego miotu nie brano ławą czeską.

Wykazy myśliwskie.

Wykaz ubitych drapieżników w lasach dóbr Międzyrzec w roku 1907/8; zabito: lisów starych sztuk 34, młodych 8, kun starych 10, tchórzów 7, łasic 23, wiewiórek 189, psów 252, kotów 169, jastrzębi większych 313, mniejszych 2, bocianów 100, czapli 1, sójek 171, srok 27, kruków 34, wron 1194.

Razem sztuk 2534.

Drobiazgi myśliwskie.

Wilki. W pow. święciańskim pokazała się gromada wilków, które podchodzą do osad ludzkich, rzucają się zwłaszcza na konie na noclegach.

Późne ocielenie się łani. D. 15 września r. b. podczas polowania na dziki nad Odrą, naganiacze znaleźli młode cielątko, które według wszelkich oznak, łania urodziła tegoż dnia.

Znaczone ptaki. „The Field" donosi, że w Andaluzyi w Hiszpanii zabito słomkę, znaczoną pierścieniem umocowanym u nogi. Właściciel pierścienia zgłosił się wprawdzie, ale jego zeznania wywołały niezwykłe zdumienie. Oto zapewnił on, że przywiązał ten pierścień nie do słonki, lecz do młodego gołębia w r. 1904. Ptak, trzymany do r. 1906, przepadł wtedy razem z pierścieniem, który się znalazł obecnie u nogi słomki. Właściciel przypuszcza, że zmiana nastąpiła przez jakiegoś myśliwego. Jakoż wiadomo, że w rewirach księcia Northumberlanda, co rok znaczą w ten sposób wiele młodych słonek. Zapewne więc jeden z myśliwych który zabił owego gołębia, zdjął zeń pierścień i przywiązał go do nogi słonki.

Nowa zaraza sarnia. Na Morawach w lasach księcia-arcybiskupa stwierdzono wśród sarn chorobę epidemiczną, dotychczas nieznaną, której bliżej określić nie mogą nawet fachowcy po dokonaniu kilkakrotnych sekcyj. Wskutek tej zarazy zaatakowane zostają głównie płuca i wątroba. Dotychczas znaleziono przeszło 30 sztuk sarn padłych na tę chorobę. Podług ostatnich wiadomości, zdychają tam obecnie także zające wskutek tej choroby. Choroba połączona jest z ropieniem.

Konsumcya zwierzyny w Paryżu. Jak ogromną sumę przedstawia sprzedaż zwierzyny, daje pojęcie statystyka, dotycząca jednego miasta wielkiego. Paryż naprz. konsumuje rocznie następującą ilość zwierzyny. 11.000 sztuk jeleni i sarn, 200 sztuk dzików, 253.000 zajęcy, 490 — 500.000 sztuk kuropatw, 40.000 sztuk przepiórek, 1.200.000 gołębi, 860.000 kaczek, 3.250.000 królików, 6.833.000 kur, następnie 22.400.000 kilogramów ryby i 5.270.000 kilogramów ostryg. Ze zwierzyny to zaledwie około 20% jest pochodzenia francuskiego, resztę bowiem importują z Austryi, Niemiec, Rosyi, Hiszpanii oraz Holandyi. Gdy pomyślimy, ile zwierzyny spożywa Londyn, Wiedeń, Berlin i inne większe miasta, to zrozumiemy, jaką to olbrzymią ilość upolować trzeba corocznie. Wartość jej przekracza setki milionów rubli, dziwnem więc wydaje się, że są ludzie, którzy lekceważą myślistwo. Gdyby nie polowano pół roku, toby setki tysięcy ludzi zostały bez chleba i zarobku, a stałyby się żebrakami lub złodziejami. Myślistwo więc stanowi także ważny czynnik w gospodarstwie ekonomicznem państw współczesnych.

Przyczyna sezonowej zmiany upierzenia u ptaków. Ciekawe spostrzeżenie przeprowadził w tym kierunku p. C. W. Beebe. Niektóre ptaki, powiada, przybierają na początku pory lęgowej specyalne upierzenie godowe. Występuje to szczególnie wyraźnie u samców; w jesieni jednak tracą tę szatę i stają się bardziej podobne do samiczek. Tak się dzieje z rodzajem *Piranga* i *Dolichonyx*.

Jakie są przyczyny tej zmiany? Można wynaleźć ich wiele: warunki ogólne, pożywienie, ciśnienie krwi, stan organów płciowych, temperatura, stan wilgotności itp. Możnaby robić doświadczenie nad wpływem tych różnych czynników. P. Beebe wziął jednak pod uwagę tylko jeden z nich, mianowicie stan ogólny ciała, tj. stopień otyłości ptaka. Ptak jest przeważnie chudy po przejściu pory lęgowej, dopiero w jesieni zaczyna nabierać ciała. P. Be-

sbe robił doświadczenia z dwoma ptakami: umieścił je pod koniec lata w miejscu słabo oświetlonem i karmił obficie aż ptaki utyły; na jesieni, gdy przyszedł czas pierzenia się, nie straciły ani jednego pióra. Pierzenie się nie odbyło, ptaki były zdrowe, lecz ociężałe. Dość jednak było zmiany temperatury na to, aby przestały jeść, przychudły i zmieniły upierzenie. Zdaje się więc, że zmiana szat nie jest zjawiskiem, zależącem od przyczyn dziedziczności lecz skutkiem reakcyi organizmu na zmiany cielesne, określone wpływem czynników fizycznych.

Spoczynek psów myśliwskich. Czy pies powinien odpoczywać po jedzeniu? Na to pytanie daje odpowiedź słynne w swym czasie doświadczenie znakomitego fizyologa francuskiego, Claude Bernard'a. Uczony ów nakarmił wczesnym rankiem dwa psy myśliwskie, jednakowego mniej więcej wzrostu i wagi. Jednego z psów zamknięto w budzie ciasnej, wykluczającej możność żywszych ruchów zwierzęcia; z drugim fizyolog poszedł na polowanie, które trwało dzień cały. Wieczorem zabito psy owe i zbadano bezzwłocznie zawartość żołądka; przekonano się wówczas, że pies, zamknięty w budzie i do spokojności w sposób ten zmuszony, strawił jadło swe całkowicie; natomiast galopujące po łąkach i lasach biedne psisko nie strawiło jedzenia. Krótki spoczynek zatem po obfitszem pożywieniu nie tylko nie jest rzeczą zdrożną, lecz przeciwnie, pożądaną bardzo dla zdrowia. Potrzebę ową odgadują nstynktownie zwierzęta; psy i koty, najadłszy się, zwinięte w kłębek zasypiają smacznie.

„Kaczka" dziennikarska. Skąd pochodzi wyrażenie „kaczka dziennikarska?" Otóż rzecz tak się podobno miała. Członek akademii brukselskiej, Kornelissen, został pewnego razu sromotnie ośmieszony przez dzienniki. Pragnąc się zemścić, wymyślił bajeczkę o żarłoczności kaczek, w której, w sposób zadziwiająco prawdopodobny opisał, jak 20 kaczek, zamkniętych w jednem miejscu, w ciągu krótkiego czasu pożarło się wzajemnie wraz z piórami, dziobami i kośćmi. Gazety uwierzyły mistyfikacyi i kiedy w rok potem historyjka ta ukazała się w dziennikach amerykańskich przez „świadków" „naocznych", z dodaniem najdrobniejszych szczegółów i komentarzy naukowych, to w Europie zaczęto się wyśmiewać z własnej naiwności, wyrażając zdumienie, jak można było uwierzyć „kaczce" dziennikarskiej. Odtąd wyrażenie to utarło się w dziennikach.

Polowanie na małpy w Budapeszcie. Niedawno przybyła do Pesztu koleją menażerya Ernesta Perziny i zatrzymała się chwilowo na dworcu. Na krótki czas otworzono drzwi wagonu, aby zwierzętom wpuścić nieco świeżego powietrza. Dozorcy nie zamknęli dobrze klatki z małpami, co miało ten skutek, że dziesięć małp wyskoczyło z wagonu i rozbiegło się w rozmaitych kierunkach. Teraz rozpoczęło się formalne polowanie. Dwa mniejsze zwierzątka, które uciekły na pobliskie drzewo, zwabiono słodyczami. Jedna całkiem mała małpka wyszukała sobie osobliwe schronienie; wskoczyła mianowicie na wielki kapelusz przechadzającej się pani, ku niemałemu przerażeniu właścicielki tego modnego nakrycia głowy. Malutkie zwierzątko tak się wsunęło pomiędzy kwiaty kapelusza, że tylko z wielkim trudem zdołano je stamtąd wydostać, przyczem fryzura pani została niemiłosiernie zburzona. Inna znowu małpa wbiegła na podwórze gazowni, skądnastępnie dostała się do składu węgli. Niedługo jednak cieszyła się swobodą; nie mogąc znieść zapachu węgla, czemprędzej stamtąd wyskoczyła i wpadła w ręce ścigających. Wielkiego szympansa znaleziono w śpiżarni sąsiedniego domu, jak wyjadał z dużego słoja konfitury, zagłębiając w nim wszystkie cztery nogi. Inne wreszcie małpy pouciekały na drzewa, latarnie i dachy. Po długiej, a zaciętej gonitwie, w której brały udział tłumy publiczności, wszystkie małpy ostatecznie schwytano i wsadzono do klatki.

Polowanie a ludożerstwo. W czasopiśmie „Le Tour du Monde" ogłosił sprawozdanie ze swej podróży kapitan Lenfant, dowódca ostatniej wyprawy francuskiej do Konga. Lenfant stwierdził, że podobnie, jak plemiona wschodniego Konga, tak i Murzyni, nad rzeką Langa mieszkający, są ludożercami. Wszędzie podczas podróży napotykał Lenfant ślady ludożerstwa. W pewnej wsi widział w kotle gotujące się ramiona i piersi kobiety. Murzyni tamtejsi nad wszystko przenoszą ciało ludzkie, zwłaszcza „białych". Zjadają przedewszystkiem jeńców i zabitych wrogów, prócz tego zaś kobiety z własnego plemienia, jako „ofiary". W razie nieurodzaju, złych polowań, albo niszczącej wojny, plemię wydaje na ofiarę pewną liczbę dziewic, które po uroczystym tańcu pośród okrzyków i uderzeń „tamtamu" duszą i gotują. Każdy uczestnik uroczystości otrzymuje swoją porcyę i wraca do chaty, ażeby w spokoju delektować się niezwykłym kąskiem. Jeden z tubylców, niosący pakunki wyprawy Lenfanta, zbiegł w owych okolicach. Jak się później okazało, Murzyni zjedli go już nazajutrz po ucieczce. Ludożerstwo wzrasta w porze, gdy brak zwierzyny, małp, szczurów i wężów. W takich razach pod jakimkolwiek pozorem ludność daje na ofiarę kobiety i zjada je po uduszeniu. Nawet stałe uroczystości połączone ze spożywaniem ciała ludzkiego wypadają zawsze w porach, gdy w lasach zwierzyna cofa się w niedostępne knieje i trudno ją upolować.

Olbrzymie lasy. Największy las ciągnie się w Ameryce północnej do Hudsona i półwyspu Labrador, a ma 2750 kilometrów długości i 1600 szerokości. W południowej Ameryce największym jest ten, który w dolinie Amazońskiej zajmuje przestrzeń 3,000 kilometrów długości i 2,000 kilometrów szerokości. Afryka posiada obok źródeł Nilu las, którego długości nikt obliczyć dotąd nie zdołał, szerokość zaś jego ma 4,800 kilometrów. W południowej Syberyi są też niezmierne przestrzenie, pokryte lasami z drzew szpilkowych.

Tygrys bengalski. Straszny wypadek zdarzył się w cyrku nowojorskim. Pogromca zwierząt, Falkendorf, produkował się z tygrysem bengalskim. Tygrys miał wyskoczyć na podium, ale w jednej chwili rzucił się na pogromcę, pazurami zdarł mu skórę z głowy, a następnie przycisnąwszy go swoim ciężarem, stanął na nim. W widowni zapanowała straszna panika, dzieci i kobiety zaczęły uciekać, tembardziej, że obok tygrysa stało jeszcze kilka innych dzikich zwierząt, oczekujących na swą kolej. Inni pogromcy rzucili się na pomoc i pozamykali te zwierzęta, a jeden z pogromców przybiegł na ratunek Falkendorfowi i uwolnił go z pod łap tygrysa. Falkendorf ma zupełnie zdartą skórę z głowy i lekarze wątpią, czy uda się go utrzymać przy życiu.

* *

Zemsta. Co widzę? Jesteś wegetaryaninem a zjadasz zająca?

— To zemsta za to, że mi kapustę niszczył.

* * *

Szkodliwość słonia. Nauczyciel na lekcyi zoologii. Czy słoń jest pożytecznem, czy szkodliwem zwierzęciem?

Uczeń. Szkodliwem.

Nauczyciel. A to dlaczego?

Uczeń. Bo z jego kłów wyrabiają klawisze fortepianowe.

* * *

Wypchany lew. Mąż (w muzeum do żony). Czego się boisz żonusiu, ten lew jest przecież wypchany...

Żona. A może on jest nie całkiem wypchany.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" **J. O.** *(C. d.).*

Tur.

Chodzi, jak tur.
Krew, jak u tura.
Natura, jak u tura.

Tygrys.

Zła, jak tygrysica.

Węch.

Węchem wilk syt nie będzie.
Ciekawy na psi węch.
Ma psi węch.
Kto żony szuka, węchu pożycz od kruka.

Wielbłąd.

Kładzie, jak na wielbłąda.
Komara przecedzacie, a wielbłąda pożeracie
Ma nóżki, jak wielbłąd.
Słowo się wymkło z ust myszą, a wraca wielbłądem.

Wiewiórka.

Chyży, jak wiewiórka.

(C. d. n.).

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego"** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego"** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego"** adresować należy:
Smolna 40, w Warszawie.

O G Ł O S Z E N I A.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk „Drukarni Polskiej" (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.